MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 23. WARSZAWA, 21 MAJA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

AKTUALNOŚĆ NORWIDA

AKTUALNOŚĆ bywa rozmaita. Najczęściej jest ona synonimem popularności i sławy, to znaczy, że osobistość „aktualna" doskonale przystaje do swej epoki, zlewa się z nią w jedną całość, myśli jej myślami, czuje jej nerwami, to też wraz ze zmierzchem własnej epoki automatycznie usuwa się w cień, zostawiając — i to nie zawsze — jeno mniej lub bardziej wyraźny ślad w historji, lekkie wspomnienie, zaprawne melancholją lub też goryczą, smutkiem czy niesmakiem, uśmiechem pogodnym albo sarkastycznym...

Dotyczy to przeróżnych głośnych swego czasu osobistości, którym się zdawało i o których myśleli też inni, że ich sława — to wyraz jakichś stałych wartości, których byt w historji jest zapewniony. Gdy więc ten i ów tego typu znakomity człowiek, uniesiony ponad tłumu głowy, swym laurem skinął — wraz mu klaskano. I szli za nim wszyscy: starcy, dziewki, i hufiec bojowy, i młodzieńcy z tuniką rozwianą, jako wielkie morze w słońca blasku, szli... Jakże jednak rychło przechodzili „w historji oklasku", jak mówi poeta!

Tysiącem przykładów z różnych dziedzin możnaby poprzeć tę tezę. Nam, Polakom, wystarczą chyba nazwiska: z jednej strony — Chłopickiego czy Mierosławskiego, zaś z drugiej — Zaleskiego, Pola, Przybyszewskiego...

Ale jest też aktualność inna, razem stała i zmienna, która czasem blednie i wiotczeje, kiedyindziej zaś się odradza i rozbłyska nowem światłem. Więc np. w literaturze dostrzega Norwid całą taką krainę, która nie kończy się, lecz wciąż zaczyna, — rozległą sferę s ł ó w w i e l k i c h, co na zawsze nowe, niczyje, wszędy własne, nigdzie nie miejscowe, skądciś natchnione duchem... Nieraz parę takich słów wielkich przez zgasłych wieków przelata dziesiątek, i nic to, że je ktoś lat temu wypowiedział tysiąc, one jeszcze dziś grzmią tak, żeśmy przysiąc gotowi, iż bliższe są nas myślą i głosem, niż stosy ksiąg, co wczoraj dopiero wyszły z pod prasy.

Otóż w wypadku aktualizmu tego drugiego typu dość częstem zjawiskiem bywa, powtarzam, szczególne wzmaganie się w pewnych okresach znaczenia niektórych wielkich postaci. Zaczynamy patrzeć na nie jakby innem, niż dawniej, okiem, — odsłaniają się nam strony ich myśli, pojęć i charakterów, dotąd nie dostrzegane lub niedoceniane, wreszcie — jeśli mowa o literaturze — spostrzegamy walory estetyczne, dotychczas nam obce lub nawet niemile dawniej rażące.

Na niwie literatury najlepiej ilustruje tę aktualność drugiego typu właśnie Norwid. Szczególnie osobliwa jest ta okoliczność, że w myśl jego przepowiedni, staje się on aktualny dopiero teraz, acz i dziś ta niewątpliwa aktualność nie jest bynajmniej identyczna z popularnością ani ze sławą. Jest on aktualny, bo treść jego świadomości dawno była na tej drodze, kędy się znalazły potrzeby i utęsknienia współczesnego nam życia polskiego.

Z ostrożnością jednak należy się posługiwać tem deterministycznem i panteistycznem pojęciem „życia", gdyż zdajemy sobie sprawę, że niepodobna podciągnąć wszystkich jego objawów pod jeden wspólny mianownik. Owszem, jakeśmy pisali o tem w artykule, umieszczonym styczniu t. r. na łamach „Myśli Narodowej", współczesność nasza opowiada się przez dwie tendencje, z gruntu sobie wrogie, pomiędzy któremi wre zacięta walka. Stąd rzecz jasna, że wyraźnie skrystalizowana ideologja Norwida może odpowiadać — i odpowiada, — jednemu tylko prądowi we współczesności, a to temu właśnie, który nazywamy dziś c h r z e ś c i j a ń s k i m n a c j o n a l i z m e m.

Jakiż to zespół wartości, dopasowanych do potrzeb dzisiejszości, reprezentuje Norwid?

Poczęści przedstawia to dr. Wł. Arcimowicz w pracy „Prawdy C. N." („P r z e g l. P o w s z". 1932),

wskazując na religijność poety, oraz jego stosunek do sztuki i jeno zlekka dotykając momentu politycznego. My popróbujemy ująć ten problem z nieco odmiennego punktu widzenia.

Otóż pogląd Norwida na świat jest wybitnie koncentryczny i doskonale konsekwentny. Ten jego pogląd nosi wszelkie znamiona sądu o świecie, oraz nakazu moralnego względem samego siebie i bliźnich. „Jest taka gwiazda na niebiosach umysłowego mego świata“ — pisze Norwid w r. 1845 — „która wszystkie uczucia w jedno łączy ognisko. Ta będzie świecić mi na grobie, jak teraz świeci... Ta jest zupełnie oderwana, w sferze wyższej nad wszelkie doczesności świata przemiennego“.

Gwiazdą tą, jak w przypowieści „Ksiąg“ Mickiewicza, jest „wiara niebieska“, najściślej prawowierna religijność katolicka, to też jej „oderwanie“ nie ma nic wspólnego z idealizmem niemieckim, którego Norwid był przeciwnikiem. Przeciwnie, po tamtych słowach, z naciskiem tłumaczy poeta:

„Ale promienie jej rozliczne, rozciągnięte do ziemi, krystalizują się w postaci organiczne i całe, i każde z uczuć moich jest skończone jak drzewo, pewne tylko owoce, pewnej formy i blasku wywołujące z siły swojej“.

Jeśli więc nazywamy Norwida przedewszystkiem poetą, jeśli nie zapominamy, że był on również artystą-plastykiem, jeśli skłonni nawet jesteśmy nazywać go myślicielem, to przecie zawsze pamiętać należy, że w psychice Norwida tkwiła ustawiczna skłonność do łączenia w jedną całość różnych elementów życia duchowego, teorji i praktyki. Nikt w Polsce nie „prostował ścieżek Pańskich“ z równą świadomością i sprawnością. Poczucie nieodpartej konsekwencji życiowej i historycznej, oraz związku zasadniczych podstaw bytu z dniem codziennym, potrzeba „harmonji pomiędzy uważaniem dnia każdego jako całości i całości sprawy dokonanej jako Żywota“—nie opuszczała go ani na chwilę. Najwyższą zdobycz wielkiej poezji polskiej, osiągniętą najpierw przez Mickiewicza, a wyrażającą się w konieczności ścisłej łączności bytu jednostkowego ze zbiorowym, narodowym, pod kopułą i na podstawie Objawienia — Norwid przyswoił sobie odrazu w sposób nieporównany. Niema u niego ani jednego, najdrobniejszego wiersza bez czujnej świadomości, że każdy nasz czyn indywidualny — to akt życia społecznego i religijnego zarazem. Nie negując przypadków, dostrzega poeta przedziwną ich symetrję, która sprawia, że dzieło zniszczenia i dzieło tworzenia harmonijnie się kędyś łączy i spierścienia. Stąd płynie wielka odpowiedzialność — i poczucie osamotnienia tych, co widzą zarys wielkiej myśli Bożej, z takim trudem przez siebie wcielanej w życie. Albowiem teocentryczna filozofja Norwida każe mu uznać za istotną rzeczywistość plan Boży, zarysowany dla świata, zaś tylko powoli realizujący się w kształtach widomych. Ta walka Norwida z rzeczywistością w imię prawdy (Miriam), każe mu wyraźnie uznać zjawisko grzechu, którego byt negują, rzecz jasna, t. zw. helleńskie *ingenia*, stojące na gruncie absolutnego indeterminizmu i uznające człowieka za jedynego twórcę wartości. Tymczasem Norwid wyraźnie występuje przeciw idei mechanicznej i rzekomo autonomicznej człowieka, gdyż ani początki rzeczy nie są dziełem rąk ludzkich, ani dopełnienia nie są z nas samych. Stąd poeta pragnie wyzwolić byt społeczny z pod supremacji jednostek, gdyż taka supremacja prowadzi do bezwładu, zastoju, a wreszcie do katastrofy. „Kilkadziesiąt tysięcy zdrowych głazów, żelazem dobrze skwadrowanych i po jednej architekta myśli zestosowanych w przewidziany naprzód ogół, skończenie też swoje mają naprzód; a pomnikiem są póty, dopóki trwa budowniczego abrys! Pierwej? potem? i w przeciągu samegoż budowania?... to są kamienie!... Dopóki też kamienie zwyciężać mogą ludzi... póty zwyciężą... Lecz skoro już zwyciężą i gdzie zwyciężą? nie zostanie tam kamień na kamieniu“...

Stąd prawdziwa twórczość jednostkowa opierać się musi o ciągłość bytu narodowego. Kto się od sumienia historji oderwał, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę się zamienia. Prócz tradycji, także oparcie się o opinję, tę „ojczyznę ojczyzn“, jest koniecznym warunkiem trwałego postępu. Stąd wielbi Norwid organiczną budowę społeczeństwa, formę narodowości. Ojczyzna — to wielki zbiorowy obowiązek, obowiązujący jednostkę dla ojczyzny, ale też i ojczyznę dla jednostki. To nie przeszkadza być poecie uniwersalistą, bo tylko ze stanowiska ponadnarodowego widzi się pełnię narodowości, jej istotę, powołanie i cele, podobnie jak człowieczeństwo możemy zrozumieć tylko w świetle, płynącem od Bóstwa. Wolność bowiem, jak głosi św. Paweł (II Kor. III, 17), tam tylko jest, gdzie Duch Pański czuwa. Stąd płynie krytycyzm Norwida wobec romantyzmu oraz rehabilitacja całości życia psychicznego.

Więc sztuka rodzi się też z Prawdy; „piękne jest rumieńcem i jakby barwą Dobra, i jest jakoby tym rumieńcem, który wyrzuca na twarz serce niewidzialnie w sobie poruszone. Zaś to, co nieśmiertelnego w sztuce i jej powołaniu dla społeczeństwa, jest to właśnie uszanowanie pracy ludzkiej. Sztuka jest kościołem pracy... Bez sztuki, z pojęcia narodowego wywiniętej, szanowni panowie, zobaczycie, jak to będzie trudno i do pewnego stopnia niepodobna pracę ręczną powiązać z pracą umysłową“.

Rzecz ciekawa, że prócz Morrisa i Ruskina, podobnież patrzy na istotę sztuki Sorel, który pisze n. p.:

„Sztuka staje się objawieniem umysłu w pracy... Człowiek przestaje uważać prawo pracy za prawo niewoli i upodlenia... Sztuka dostarcza nam środka uszlachetnienia tego, co starożytni uważali za niewolnicze, i doznawania dumnej rozkoszy w pokonaniu trudności i poczucia wolności przy spełnianiu swej roboty. A równocześnie praca, wykonywana z uczuciem artystycznem, jest nietylko doskonalsza, ale i ilościowo bogatsza... Posłannictwem sztuki jest uszlachetnienie pracy ręcznej i zrównanie jej z pracą naukową“.

Jeśli jeszcze do tych pojęć i wyobrażeń Norwida, tak bliskich dziś nam, dodamy jego szczególne formalne wartości, czujną troskę o wiersz, niebywale płodne poszukiwania i zwycięskie próby w zakresie rytmiki, jakiej nie spotykamy u żadnego polskiego poety, styl zwarty, soczysty i aż nabrzmiały myślą, cudowne przemilczenia w dramatach, tak zrozumiałe dzisiaj po próbach ekspresjonizmu — to zobaczymy, dlaczego dziś mało który z wielkich twórców polskich jest tak aktualny, jak Norwid.

Ale również przez negatywne stanowisko swoje wobec upiorów, z któremi dziś walczymy,

Norwid jest niebywale bliski wszystkiemu, co dziś w Polsce jest twórcze. Wszakże to i on gromił cywilizację, uważaną za cel samą w sobie, wolną od nakazów moralności; zwalczał też Assurskich bogów i pół-bogów, co pijaństwo siebie mają za władzę, co zapominają, lub nie wiedzą, że wszelki zabity, moralnie czy nie moralnie, pozostawia po sobie upiora: konsekwencję; wreszcie pogardą darzył tych poetów-dojutrków, którzy, by odeprzeć grom prawdy walnej, wciąż w dzwoneczki fijołków dzwonią...

STANISŁAW CYWIŃSKI

O POEMACIE „QUIDAM"

OTCHŁANIĄ nazwał Zenon Przesmycki ten przedziwny utwór Norwida, który nosi równie dziwne miano „*Quidam*". Jest to bezwarunkowo jedno z najdojrzalszych dzieł genjalnego poety.

Norwid dogłębnie wyczuwał mistykę i poezję wszelkiej kultury, bądź to żywej, bądź to umarłej. Kochał gruzy, porośnięte chwastem, odwieczne gniazda klechdy. Lgnął pamięcią ku głazom, osypiskom, szczątkom pysznych niegdyś budowli. Zbierał wiadomości archeologiczne. Wobec dostojnych pomników cywilizacji zawsze schylał głowę w kornej zadumie. Za Oceanem czuł się nieswojo, gdyż lądu tego nie tknęła jeszcze zwycięska stopa Historji. Było jutro i dziś. Nie było wczoraj. Taki przaśny rozczyn obiecujących zadatków i pośpiesznego dorobku zniechęcał Norwida:

„Słowem, jednego razu czułem się tu bardzo opuszczonym. Wszędzie albowiem indziej sieroce życie moje podpierałem przynajmniej fundamentami historji i gruzy Rzymu często mi familijne zastępowały uczucia — tu więc i w tem jeszcze zdradzony będąc, zatęskniłem był raz przynajmniej do jednego kilkunastowiecznego kamienia".

Rozmyślał tedy nad ową cywilizacją, która wstała gdzieś razem z cieniami piramid, otrząsnęła złocisty pył wędrowny w heksametrach Homera, zagrzmiała żelaznym krokiem rzymskich legjonów, szlochając przedtem tęsknotą ku jedynemu Bogu w proroctwach hebrajskich, nakoniec, jako *Mater Dolorosa*, pod czarnym krzyżem zastygła. Ale kresu niema dla poczynań ludzkości. Wyrzuca ona z siebie coraz nowe ludy i cywilizacje. Zapładnia ją dobro i zło. Nabytki różnych okresów mieszają się z sobą, jak w warstwach ziemi leżą zmieszane z sobą kości różnych, dawno zaginionych gatunków zwierzęcych.

„Tak samo wszelka bezinteresowna prawda" — pisze Norwid w listach do Marji Trembickiej — „ukrzyżowana jest po łacinie przez literę rzymską, pogańską suchość; po grecku przez piękność formy ateńskiej, uważanej jako *point de depart*, a nie jako *point d'achèvement* — przez styl dla stylu, pisanie dla wiersza, konwenanse socjalne, nareszcie miękkość, stracenie serjo; po żydowsku— przez wiarę bez miłosierdzia i handel dla handlu, pieniądze dla pieniędzy — wreszcie kabałę bez otwartego zastawienia się piersiami odkrytemi".

Rzym bodaj najjaskrawiej wyświetlał prawdę, zawartą w tych słowach. Tam kościoły chrześcijańskie rodziły się ze świątyń pogańskich, na kolumnach, wspierających Kapitol, płakał grecki liść akantu, a w cieniu kolumn bielały marmurowe bogi dłuta helleńskich rzeźbiarzy. Tam Żyd zmusił Rzymianina, Piłata Pontskiego, aby na krzyżu rozpiął Chrystusa. Rzym — to czarnoksięska kula kryształowa, w której widać świat cały i wszystkie stulecia.

A w liście do Lucjana Siemieńskiego, drukowanym w „Czasie" z r. 1849:

„Rzym — to środek, punkt prawie w matematycznem rozumieniu, Rzym — to owa kolumna na starożytnem forum, na której były zapisane odległości miast państwa, czyli świata... A potem stało się podobnie, ale przez Człowieka Niebiańskiego, przez krzyż, prawdę, męczeństwo, przez takie świętej krwi wylanie, że pomniki w niej wszystkie starego świata się ochrzciły i kościołem został amfiteatr, także bursa i łaźnie, i starego Rzymu wszystka żądza, wszystek sławy moment.. Co w architekturze tego miasta nieustannie spotykasz, to jest i w „*Corpus Canonicum*". Na obelisku Sezostrysa—krzyż bronzowy w obłoku i porfiry pogięte w kształty znaku greckiego i Victorie skrzydlate do aniołów naszych tak podobne i obok Kapitolu barbarzyński gotyk z łukiem ostrym".

Norwid dźwigał we własnej świadomości brzemię tysiącleci. Był oddanym, niemal tkliwym synem łacińskiej cywilizacji. Pamiętał, że jego krew zawdzięcza swą tężyznę szlachetnym prochom odległej przeszłości. Wszędzie stosował miarę rozległych porównań dziejowych. Na siebie patrzał nie jako na wyprysk przypadku, lecz jako na ogniwo długiego rozwoju:

„A każdy z nas już, to starszy, jak Plato i jak Sokrates", — nadmienia w jednym z listów do Marji Trembickiej,— „mniej tem, że nam to w usta z mlekiem włożono, czego oni potem potów dorabiali się, a ledwo w usta im powiało przy zgonie".

Jak nieulękły górnik, Norwid zstępował coraz niżej i niżej w pokłady cywilizacji. Świecąc mdłą latarnią cudzych uczonych rozumów, pieczołowicie oglądał skamieniałe, bezwładne energje. Badał, czem je ożywić. Wszak nie umarły, jeno posnęły. I wtedy narodził się „*Quidam*", gotowy już w pierwszych miesiącach 1857 r., a odbywający zwykłą u Norwida tułaczkę do 1862 r., kiedy to Brockhaus wielce pochlebnym listem ściągnął kilkanaście rękopisów Norwidowych do Lipska, gdzie je drukiem ogłosił ku wstydowi polskich wydawców, łasych na pokupne i gładkie miernoty. Sam twórca „*Quidam*", ciągle z groszem w rozterce, chciał w końcu sprzedać rękopis za pieniądze upokarzająco liche:

„Mam przekonanie", — zwierza się Norwid Bohdanowi Zaleskiemu w lutym 1857 r.—„iż paroletnia moja praca nie będzie na niekorzyść literatury i księgarza. Myślę, iż nie bardzo nadto jest czytelników, mających organ żywy, dzieje chrześcijańskiego człowieka zbiorowego czytać mogący. I że przecie obchodzić to może te serca, co z tego żyją. Chcę sprzedać choćby za parę set franków, aby nie do albumu prywatnego, albo na zawinięcie rękawiczek".

Krasiński, Lenartowicz i paru innych czytali poemat w rękopisie. Krasiński snadź nie szczędził uwag, bo Norwid zwraca się do niego z osobnym listem, wcielonym na wzór listów, poprzedzających „Balladynę" i „Lillę Wenedę", jako przedsłowie, jako poetycki apolog. Tu zaznaczają się wyraziście różnice zapatrywań. Innym zgoła duchem, jakby przeciw — Irydjonowym tchnie w ujęciu Norwida tragizm dobiegającej kresu cywilizacji rzymskiej. Tragizm wyłania się nie z gromkich, bohaterskich postaci, nie ze światoburczych poczynań, nie z kłębowiska wrzących namiętności, a z istot szarych, bezimiennych, z cichych przypadków, z wewnętrznych, duchowi tylko widomych, ruin epoki. Irydjon ku swej uciesze zobaczył Rzym zdruzgotany, wy-

nędzniały, żałobny, ale zwycięstwa nie mógł sobie przypisać. To Chrystus pokonał drapieżny gród ucisku. Pogaństwo rozpadło się w popiół. Wytliły się doszczętnie jego paleniska. Krasiński w przypisach do „Irydjona" okłada Rzym zaciętą klątwą, jako wylęgarnię zdrady, podstępu, rozpusty, krzywdy, hańby ludów, niewolnictwa. Stało się przecież, że teraz na siedmiu wzgórzach gruzy, a krzyż wyciągnął ramiona, zdolne zamknąć w sobie kulę ziemską.

Norwid, rozłożywszy na czynniki pierwsze cywilizację ośmnastu wieków po Chrystusowych, wykrywa liczne pozostałości starych kultur pogańskich i bynajmniej nie uderza w surmy zwycięstwa. Pamiątki i zburzyszcza italskie nawiewają dużo smutku. Połamane łuki, nadszczerbione posągi bóstw, półkoliste, zielskiem obrosłe siedziska Colosseum, słowem sztuka grecka, i jędrne prawodawstwo rzymskie, i okrutna żarliwość żydowska w wierze, połączona z chytrością zawodowych przekupniów—oto jest mleko macierzyńskie naszej cywilizacji:

„Cywilizacja, według wszelkiego podobieństwa do dziś jeszcze podobna jest do tego kościoła", — głosi Norwid w liście do Zygmunta Krasińskiego, — „który za Kapitolem tyle razy przy księżyca świetle oglądałeś—do tego kościoła, co w kwadracie kolumn świątyni starożytnej, jako gołąb w rozłamanej klatce przestawa; tak, iż mszy świętej idąc słuchać, przechodzi się ówdzie przez Jowiszowy przysionek.. Cywilizacja składa się z nabytków wiedzy Izraelskiej-Greckiej-Rzymskiej, a łono jej chrześcijańskie, czy myślisz, w świadomej siebie rzeczywistości już tryumfalnie rozbłysło?"

„*Quidam*" opiewa ruiny, ale „w mniej plastycznych sferach" niż „Irydjon". Jesteśmy bowiem świadkami, jak rozkruszają się dusze Żyda, Greka i Rzymianina, jak przegryza je rdza słotnych, przejściowych czasów, jak ze rdzennej treści bytu pogańskiego, niby z wnętrza cudnie rzeźbionej konchy, wysącza się śmiertelny jad. Sine plamy zarazy pokrywają alabastrową „poetessę Zofję", tak wiotką, niemocną, cieplarnianą, rozwiewną, że aż w estetyczną nicość przechodząca, i Arthemidora, mędrca zarzucającego sieć pojemnej, skrajnie wydoskonalonej myśli, jakże często w pustkę, i syna Aleksandra, co pilnie śledzi omylny trop Prawdy, a znaleźć go nie może i ginie w jatkach, rozłupany toporem kapłańskim, jak bydlę ofiarne. Zaraza dotknęła również Żydów. Krwią zawiści nabiegły im oczy. Czekali Mesjasza, który hukiem złotych trąb, błyskawicami miecza, grzmieniem kotłów i bębnów sprawdzi prorockie zapowiedzi, a prześlepili Syna cieśli, słodkiego nauczyciela z Nazaretu. Mag Jazon, prawie czarodziej, posiadacz tajemnej wiedzy, mąż pełen sędziwej, czcigodnej, iście obrządkowej powagi, — nagle rozpala się młodzieńczym żarem, gdy uszu jego dochodzi wieść o Mesjaszu wojującym. Ale starzec nie wydołał potędze wzruszenia. Pochłonął go grób. Rozprzędło się na nici heroiczne przedsięwzięcie. A Rzym? Cesarz Adrjan, zabiegliwy pątnik po wszystkich gościńcach państwa, rządny i rozumny włodarz nad swą bezmierną dziedziną, praw rzymskich znamienity badacz i scalacz, a i uczony niepomału, co przejrzał mnogich ludów istotę — także nie ma bark dość krzepkich, aby przepłynąć czasów nawałnicę, bo nie zdołał pojąć Prawdy Chrystusowej, o wiele mocniej grożącej Rzymowi, niż barbarzyńcy i powstańcze zamieszki Hebrajczyków. Cóż tam jest więcej? Spiżowa fala bitnych legjonów, czyli heroizm bezkierunkowy, swobodnie puszczony wzdłuż i wszerz Imperjum. Jest plebs, lubiący się bezczynnie gapić na pozłacany zbytkiem żywot patrycjuszów lub na krwawe widowiska z chrześcijanami, lub na wjazd jakowegoś wodza, któremu chyżostopa Victoria laurem skronie uwieńczyła, — słowem plebs: bierne cielsko dziejów, o ile go chrześcijaństwo tu i owdzie nie wytrąciło z bierności. Jest Lucius Pomponius, dzielny po swojemu wykwintniś, szlachcic rzymski, zarówno wyścigów, igrzysk, jak umysłowych ćwiczeń i kobiet łakomy. W nim się także coś rozkłada i psuje. Dzielność przechodzi w zawadjactwo puste i bezcelowe. Jest wreszcie sztuka, żywiąca się okruchami Fidjaszowej wielkości, pomierna w żądaniach, gładka, równa, do mniemań powszechności wybornie przyciosana. Wszędzie zatem: schyłek i ruiny:

„Takie bezbarwne, bez-plastyczne tyle
Pobojowiska! Takie Termopile!
Któż mógł odgadnąć? czyj wzrok mógł dośledzić,
I jakie serce przeniknąć te bole?
Których nie dotknąć, ani wypowiedzieć,
Ani okrzyczeć i wywieść na pole
Teatru, w trąby pozłacane trąbiąc,
Wskazując gestem, w cymbał laską rąbiąc".

Fatum owej doby jest rozprzęgające. Wszystko samo przez się grozi rozpadem, tchnie jałową niemocą. Cywilizacja daje wyniki coraz bardziej zróżniczkowane, sprzeczne, wzajemnie się znoszące. Jej związki postronne trudno ująć w liczbę. Mieszają się wpływy różnych ludów i krajów. Zjawiska mętnieją. Fatum wyzuło je z dobitnych znamion plemiennych, religijnych, umysłowych. Cywilizacja rozlewa się, niby jakaś ciecz ujednostajniająca. Dla jej dopływu otwarto wszystkie na całym świecie przepusty. I doprawdy człowiek musi być zakłopotany, jeśli go zapytają: kim jesteś właściwie? Syn Aleksandra wędruje miedzami wielorakich kultur, Pomponius mawia niekiedy słowa rzymskie z greckim przydechem, Zofja „ma wiele z Grecji, lecz perska tkanina, azjacki płaszcz, jak wężów obwija ją ślina". Cienie (to był pierwotny nagłówek „*Quidam*") rozproszkowują się jeszcze na odcienie. Sprzyja temu doba historyczna, zwiana z brzasków i lśnień jutrzennych, a zarazem nawracająca do wieku Cezara Augusta: „wiek Adrjana"— twierdzi Norwid w liście do Marjana Sokołowskiego, „był renesansem wieku Augusta i modelował się, jak dziś na Napoleonie". W powietrzu unoszą się mary przeczuć, tęsknot i niepokojów:

„W powietrzu, zwianem z przedświtem Epoki
Nowej, z mękami starej, z siarką, z solą,.
Z szeptaniem kształtów nikłych, jak obłoki,
Z bitw gwarem, które mają być a bolą;
Powietrze, które czujesz, że się może
Zapalić wkoło, jak pomiotło Boże.
I kometami roztrzelić,—miast wiele
Zmazać i ludzi porównać w popiele".

Taką siłę rozsadzającą posiada chrześcijaństwo. Cichym, podziemnym nurtem drąży ono sobie przejścia do najwarowniejszych twierdz pogaństwa. Nazewnątrz obwieszcza się jedynie, lekceważonemi zazwyczaj, „słuchami". To syn Aleksandra nie wie, „jak ma rozumieć tygrysom rzucanie", to Adrjan chce wywłaszczyć Chrystusa z Jerozolimy na korzyść Jupitera i Wenus, to jakiś tam człeczyna, *quidam* nie zapalił świateł ku czci Cezara i powleczono go za to do sądu, to znowu Mag Jazon w przedśmiertnym zwidzie poznaje Chrystusa:

„Mistrz Jazon, słowa te słysząc, wzniósł rękę
I popychany żołnierstwa poskokiem
Wołał — „(coś w wietrze czuję, jakby mękę
Człowieka — krzyże pod ciężkim obłokiem,
Przy Jeruzalem na trupich głów górze")
I padł po piaskiem zasłanym marmurze".

Chrześcijaństwu zbywa tedy na wyrazistych przedstawicielach. Norwid poskąpił ich umyślnie. Pragnął zobrazować chrześcijaństwo, jako potęgę bezosobową, potęgę, co niewidzialnie a bezustannie zwiększa stromość zboczy, po których Rzym stacza się w przepaść. Ludzie, trawieni wątpliwościami, smagani rozterką, bezwiednie czują prawdę chrześcijańską i spoglądają baczniej w stronę Nazarejczyków. Tak właśnie postaci Delaroche'a patrzą na Mękę Pańską:

„Obraz cały z męki Pańskiej“ — mówi Norwid w „Czarnych Kwiatach“, — „w którym osoby Zbawiciela widocznej niema, ale jest ona w gamie wyrazów twarzy osób, mękę Pańską widzących, wyrażona“.

Tak samo w przypowieści „*Quidam*“ chrystjanizmu niema, ale jest w „gamie wyrazów twarzy osób“, widzących schyłek epoki. Norwid wprowadził nazwę „przypowieść“ celowo, aby tem samem wytknąć kierunek uwadze czytelnika: „Uważałeś zapewne“—pisze we wzmiankowanym liście do Zygmunta Krasińskiego, — „że dziełu temu dałem nazwę przypowieści, a to z przyczyny, że intrygi i węzła dramatycznego, właściwego powieściom, wielce się tu wystrzegałem, nie o to mi szło, ale właśnie, że o to raczej głównie, co zazwyczaj tylko pobocznie z właściwych powieści wyciągamy“.

A gdzieindziej:

„Marzyłem o powieści bynajmniej okaźnej,
A która działaby się prozaicznej pory,
Nie czasu fantastycznej doby niewyraźnej,
Nie czasu świtów mgławych, czerwonych zachodów,
Co dziwne tła dla ludzi mają i narodów“.

Tu jednak światło epoki dziwnie wydłużyło cienie narodów i jednostek, tak właśnie, jak to czyni światło przedzachodnie. Sam wątek był rzeczywiście mało „okaźny“, a mocno przygwożdżony do historji, co uderza w porównaniu z tak luźnemi historycznie utworami, jak „Lilla Weneda“, „Balladyna“, „Król Duch“ lub skrajnie romantyczne płody Romana Zmorskiego. „*Quidam*“ odznacza się drobiazgowym rysunkiem archeologicznym. Jędrne, nadzwyczaj zwarte jedenastozgłoskowce bywają tu niekiedy kopalnią rzetelnej wiedzy. Wiedza z pożytkiem zasiliła wyobraźnię poetycką i malarską. Pod barwną powłoką zewnętrzną kryje się dusza Imperjum. I Norwid kreśli jej wierny pamiętnik. Powoli rozwiązują się tęgie spoidła Romulusowego dziedzictwa. Rzym, przeładowany dobytkiem, łupem i kulturą mnogich ziem oraz ludów, traci wewnętrzną oporność. Dzieje się coś takiego, jakby w olbrzymiej budowli nagle zmniejszyła się gatunkowa wytrzymałość budulca. Na ścianach zjawiają się pęknięcia, ze sklepień odkruszają się grube kanały pobiału, ukazując gołe żebra zworników. Imperjum, jeszcze świetne na pokaz, drży u posad, wstrząsane wulkanicznym dreszczem. Główne wartości cywilizacyjne osypują się, niby przekwitające kwiecie: są już nadmiernie wybujałe, zbytkowne, wysilone. Heroizm narodowy skupia się nie w mężnej duszy Rzymianina—obywatela, a w legjoniście, czyli najemnym żołdaku. Krewkość plemienna, bez szlachetniejszego upustu, burzy się mętną pianą zawadjactwa (Pomponius). Grecka wszechstronność piękna i wiedzy omdlewa z wycieńczenia swoją przesubtelnioną doskonałością. Żydowska Mesjaszowa zaciekłość wraca z pola bitwy na tarczy. „W momentach upadku i w nienadzwyczajnych epokach“—dowodzi Norwid w listach do Marji Trembickiej—„heroizm upadły jest zawadjactwo, a dalej grubiaństwo, zajazd ostatni, tak jak znowu cywilizacja nie heroiczna szczególnie, ale wszechstronna w upadku swym jest subtylizacją, a dalej rafinerją a dalej przewrotnością“. „*Quidam*“ kończy się wygnaniem Żydów, chrześcijan i filozofów. Zofja z Knidos umiera, Mag Jazon także. Ciężki dym pogrzebowego stosu Zofji słania się pod kopytami rumaka, co niesie Pomponiusa na zamiejskie gonitwy. Niebawem jeździec mija Barchoba ze zwłokami Jazona:

„Mąż, co je spuszczał w grotę ręką lewą,
Podrzucał prawą ku jeźdźcom, jak drzewo,
Kiedy je skręci wiatr, i za rumakiem
Pulchra, coś wołać wszczął tej ręki znakiem;
Jakoby mówić chciała ta osoba:
„Pomóż grześć starca, odpoznaj Barchoba“
Gdy grzywy poświst i szelest klamidy
Zdawał się odrzec: „nie znałem was — Żydy““.

Został jedynie Rzym, gorączkowo zaciskający pętlę samowładztwa, z której raz po raz coś się wymyka. Często się zdarza, że tam, gdzie się treść ulotniła, zapalczywie rozdmuchują pozór treści. Tym przeto trybem cesarz Adrjan stawia ideę państwa w nietykalnem położeniu bóstwa:

„Rzecz pracy tej“,—mówi Norwid, — „jest z czasów panowania Adrjana Imperatora, kiedy Izrael robił ostatnie powstanie i był na on czas Mesjasz, którego za takiego uznano, zmyliwszy pierw, bo nie poznawszy Zbawiciela — jest to czas ostatecznego immolowania Grecji, czas wynurzania się chrześcijańskich pierwszych organów, czas panteizmu państwa Rzymskiego na świecie“.

Srogi los zgoła nie użalił się nad „*Quidam*“, poniewierał nim równie dobrze, jak innemi dziełami Norwida. Tylko tyle, że jakoś się rękopis nie zaprzepaścił. Czytywali go różni ludzie. W pierwszym rzędzie Zygmunt Krasiński. Był także w rękach Zaleskiego, Lenartowicza, Nabielaka. Czytano, rozprawiano, ktoś rzucił ni w pięć ni w sześć porównanie z „Konradem Wallenrodem“. Norwid trwał przy swojem. Ani myślał z rozdwojonych zdań brać pochopu do jakichkolwiek poprawek. Zbrzydło mu wędrowanie rękopisu. Zażądał zwrotu: „Boć, jak kiedy druku nie znano“,— pisał w sierpniu 1857 r. do L. Nabielaka,— „prywatnie się już to przechadza. Chodźmy teraz czytać z paru lat dzienniki polskie, krajowe i emigracyjne o bezpłodnej ciszy w literaturze naszej“. Dzięki czyimś wpływowym staraniom Norwid porozumiał się z Brockhausem. Owocem porozumienia było zbiorowe wydanie pism, datowane: 1863 r., lecz znajdujące się na rynku księgarskim już w 1862 r. Przypowieść z czasów Adrjana zajęła w tem wydaniu poczesne miejsce. Skończyła się jej włóczęga, ale nie skończyła się tragedja. „*Quidam*“ zapadł w milczenie jak w topiel. Nikt się nie odezwał, choćby z naganą. Nikomu nie przyszła myśl do głowy, że bądź-co-bądź tego rodzaju poemat — to zupełna nowość w naszem piśmiennictwie. Nikt a nikt nie uczuł zdziwienia wobec myślicielskiej potęgi Norwida, który wyzwolił się z jaskrawych romantycznych naleciałości w pojmowaniu Rzymu i zdobył sobie pogląd samoistny, bez pożyczek od Chateaubriand'a lub Krasińskiego, bez księżycowych nocy w Colosseum, bez lwów, męczenników, orgij i katakumb:

„Idzie tylko o to dla czytelników“ — powiada Norwid w liście do Bentkowskiego,— „że to nie patrjotyczne, polskie i niema tam ułanów z wąsami, ale cóż robić? nieobojętna jest rzecz także znać i historję społeczeństwa chrześcijańskiego — to także coś, co przecie troszkę obowiązuje porządnego obywatela“.

ZYGMUNT FALKOWSKI

CHRZEŚCIJAŃSKI PATRJOTYZM NORWIDA, JAKO ARTYSTY

Z CAŁEJ TWÓRCZOŚCI NORWIDA najczęściej omawiany był „Promethidion“, poetycko-filozoficzny dialog, rozwijający poglądy autora na sztukę. W związku z tem niejednokrotnie podkreślano nawoływanie poety do tworzenia sztuki narodowej, jednak nigdy nie usystematyzowano jego poglądów na nią. Coprawda zwrócono uwagę na uwydatnienie przez poetę źródeł ludowych, z których, zdaniem jego, należy czerpać materjał surowy, t. j. pierwowzory, lecz nie zwrócono należytej uwagi na różnicę stosunku do ludowości pomiędzy Norwidem a romantykami. Ostatnio powołał się na tę różnicę prof. St. Cywiński („Ruch Liter.“ r. 1933, nr. 3, str. 39), jako na jeden z dowodów tego, że Norwid nie był romantykiem. Autor trafnie powiada, że romantycy byli, mówiąc słowami Norwida, zwolennikami „stosowań formalnych“ zasady ludowości. Norwid natomiast uważał za zadanie artysty „podnoszenie ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą“, „przez wewnętrzny rozwój doskonałości“, przez przyjęcie ludowej psychologji. Tu warto jest objaśnić dokładniej terminy „ludowe natchnienia“ i „ludowa psychologja“, z których pierwszy pochodzi od Norwida, drugi zaś od prof. Cywińskiego.

Od wczesnej młodości Norwid pojmował lud bynajmniej nie naturalistycznie, ani też nie estetyzująco, jak romantycy. Zwyczajem swoim urobił on sobie pojęcie ludu, oparte na obserwacji dorywczej, przygodnej, na uchwyceniu tylko pewnych cech, które jego oderwane, teoretyczne założenia potwierdzały (lub zdawały się potwierdzać) i podkreślały. Z życia ludu wryły mu się w pamięć dwa momenty: praca z pieśnią na ustach i modlitwa, nietylko towarzysząca pracy, lecz również inspirująca ją. „Największym prosty lud poetą, co nuci z dłońmi ziemią bronzowemi“. „Lud, co jedną ręką szuka dla nas chleba, — drugą zdrój świeżych myśli wydobywa z nieba“.

Tak pojęty lud stał się dla poety symbolem prawdziwej twórczości artystycznej, przeciwstawianej „salonom modnym“ (salonom literackim, które naonczas wobec presyj, stosowanych przez cenzurę, stały się ostatnią twierdzą literatury) i poezji „rozbełtanej w piśmie“, nie znającej ani wagi, ani wartości słów i gubiącej sens w ich nadmiernym tłoku.

Główną tedy cechą ludu, według Norwida, jest zdolność do zgodnego, jednoczesnego połączenia inspiracyj nieba z pracą fizyczną. Imponuje Norwidowi osiągnięte w ten sposób uduchowienie pracy rąk. Ten ideał, mianowicie sztuka, sprzęgająca niebo z ziemią, zaznaczony już w młodzieńczym wierszu p. t. „Pismo“ (r. 1841), wyrażony został symbolicznie z wielką siłą w „Adamie Kraffcie“ (1842 r.), (rzeźba Kraffta, wyrastając z fundamentów ziemskich, „kolumnę gmachu przechodzi gotyckiego i pod stopami Pana wieniec wije“), przyświecał Norwidowi przy pisaniu „Promethidiona“ (1848—1851), stając się jednem z uzasadnień podnoszenia rzemiosł do godności sztuk pięknych i umieszczenia sztuki na szczycie wszelkich prac ziemskich. Znalazł on wreszcie wyraz i w rozprawie „O sztuce dla Polaków“ (1859) i w „Rzeczy o wolności słowa“ (1869). Symbol „lud“ coraz bardziej ulegał zapomnieniu, a pozostawała tylko sama koncepcja pojmowania pracy artystycznej, a nawet pracy wogóle (wiersz: „Praca“), jako nieustannego misterjum, w którem sztuka staje się jakby współpracowniczką religji i „u stóp ołtarza samodzielność swą kończy“.

Otóż taka, w wyższym stopniu ureligijniona sztuka ma się stać sztuką prawdziwie narodową. Nie sztuka religijna, jako wyosobniony element sztuki, branej w szerszym zakresie, lecz sztuka, jako całość, przepojona duchem religijnym, misją służenia prawdzie — Bogu. Natchnienie poetyckie i doznania mistyczne zlewają się w niej w jedno, a poeta staje się nie tylko artystą, lecz i prorokiem, prostującym ścieżki Pańskie. Jest on tą ręką narodu, która zdrój świeżych myśli czerpie z nieba i tem wspomaga drugą rękę, szukającą chleba powszedniego.

Jakkolwiek w twórczości swojej Norwid często wraca do zagadnienia sztuki narodowej w szczególności, to jednak najwyraźniejsze sprecyzowanie tego, o czem w tej właśnie chwili mówimy, spotykamy w odczytach „O Słowackim“. Mówi tam Norwid o proroczym charakterze poetów starożytnych, który naogół zakończył się „u Betlejemskiego żłobu“. Jednak było to tylko zakończenie jednego okresu pracy kapłańskiej poetów. Zakończone zostało tylko wyczekiwanie Zbawiciela, ale na to miejsce powstała inna praca i inne zadanie: apostolstwo. Nie są tedy chrześcijańscy poeci prorokami, zapowiadającymi przyjście prawdy, lecz apostołami, głoszącymi ją tam wszędzie, gdzie jej jeszcze nie słyszano. To, co dawnych poetów - proroków i nowych poetów-apostołów łączy, jest to „kapłaństwo nadziei“. „Niedzielą nadziei“ było przyjście na świat Chrystusa Pana, a teraz nastąpiły dnie powszednie, dnie roboty apostolskiej.

„Gdzież więc, mówię, ci kapłanowie odchodzą? Oto odchodzą oni poza Niedzielę tej Nadziei, oto odchodzą w dnie jej powszednie i robocze, albowiem dla człowieka pojedyńczego nadzieja już jest spełniona, ale dla człowieka zbiorowego: narodu i narodowości spełnienia nie było. Tam więc oni odchodzą, a przeto urzędu swego, Kapłaństwa nadziei nie składają“... „Idą na pola, gdzie światłość Pańska nie zajaśniała jeszcze, idą do tego, co ma się nazwać ojczyzną, a czego ludy starożytne wcale nie rozumiały, albowiem doskonałość ciał ich zbiorowych nie była w stanie nigdy wytrzymać doskonałości człowieka pojedyńczej — owszem w walce z nią była i jakoby na zatrzymywaniu onej własny zyskiwała rozwój“.

Tak tedy celem poetów-apostołów staje się doskonalenie „narodów i narodowości“, doskonalenie tego, „co nazywa się ojczyzną“, tak, aby „jeden dla narodu“ nie potrzebował ginąć. Nie chodzi oczywiście o śmierć lub cierpienia, poniesione w obronie narodu i narodowości, ale o prześladowania, jakie spotykają jednostkę mądrą po chrześcijańsku i szlachetną w narodzie niedoskonałym, w którym społeczeństwo przeciętne jest w wojnie ze swoją elitą moralną i umysłową, chodzi mu o takie prześladowania, jakie dotknęły Sokratesa (który, zdaniem Norwida, po chrześcijańsku czuł i myślał) oraz kamienowanych przez własne narody proroków i apostołów. Chodzi mu o prowadzenie narodu ku takiej doskonałości, iżby przyjął zasadę, „że dla

jednego sprawiedliwego cały naród na kartę postawić można". Innemi słowy, chodzi mu o to, żeby wartości moralne były w większej cenie, niż interes ekonomiczny, czy polityczny.

Cóż jednak ma czynić poeta, stawiający sobie tak górne cele, jeżeli żyje w narodzie, który już zna i przyjął naukę Chrystusową?

„Nie trzebaż to nam jeszcze filozofję uczłowieczyć", — odpowiada Norwid, — „politykę i ekonomję uchrześcijanić, praktyki religijne odserdecznić choćby w nas samych? salonowe formy uprostoduszpić, a rubaszność gminną wznieść nad poziom? Jeszcze przecież w postępie pogwałconym lub opóźnionym, jakby antropofagi, spychamy starców, a młodzieńcom dostępu nie dajemy, jeszcze bibułą drukowaną zaklejamy sobie oczy, a słowa natury i liter palcem pisanych Bożym czytać zaniechaliśmy. Jeszcze ja sam widziałem, jak czcionkami ołowianemi strzelby nabijano na bratobójczy okrzyk, ale karty narodów rozcinano w biurach kościanym nożem, jak karty książek. Jeszcze się pchamy, jeszcze się wałęsamy, między tą cywilizacją atradycyjną, której wielka praktyczność jest często wielce niepoczciwa, a pomiędzy naszą ukochaną cywilizacją tradycyjną, której wielka poczciwość jest wielce niepraktyczna, — jeszcze jednem słowem jesteśmy dopiero ludźmi 19 wieku".

Oto jest szeroki teren działalności poety narodowego. Krótko mówiąc: powinien on pracować nad tem, aby jego naród w postępie moralnym i umysłowym chrześcijańskim przodował, aby stwarzał wzory godne upowszechnienia wśród innych narodów i przez to stwarzał swoją własną, narodową oryginalność, własne, wyróżniające się samodzielnością i intensywnością drogi twórczości we wszystkich dziedzinach pracy.

Uważa Norwid, że po wydoskonaleniu formy poetyckiej przez klasyków, po uduchowieniu, wprowadzonem przez romantyków, ma teraz nastąpić okres trzeci, okres literatury czynu („Niewola": Do czytelnika). Dewizą tego okresu ma być nie okrzyk: „zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje"—lecz: pieśni moje! bądźcie same czynem, lub przynajmniej testamentem czynu, który trzeba koniecznie wykonać. Czyn poezji ma polegać przedewszystkiem na sprecyzowaniu szczegółów ideologji narodowej.

„P r a k t y c z n o ś ć l i t e r a t u r y nie zależy naześrodkowaniu jej w myśl jedną, co przeciwnie mistycznym raczej jest kierunkiem, a który pod tę porę jest spełniony, lecz owszem na wypojedyńczeniu, na uspecjalizowaniu, n a r o z p r o m i e n i e n i u t e g o w ę z ł a n a r o d o w e j m ą d r o ś c i".

Ze źródeł tedy mistycznych i prawd religji objawionej, z owego „węzła", wychodząc, iść należy ku zagadnieniom ziemskim, aktualnym, które nie są czem innem, niż świat doznań mistycznych, lecz istotą swą tkwią właśnie w świecie tych doznań i dlatego nie przez zewnętrzną ich obserwację, lecz przez wywikłanie istoty ich z węzła doznań mistycznych i prawd objawionych mogą być należycie zrozumiane i określone:

„Bo jest ciało śmiertelne i ciało nieśmiertelne, — jak powiada apostoł — w s z y s t k o zatem, c o k o l w i e k ś c i ą g a s i ę d o u p r z y t o m n i a j ą c e g o o k r e ś l e n i a t e g o t o n i e ś m i e r t e l n e g o c i a ł a, p r z e z t o s a m o, j e s t l i t e r a t u r y - c z y n u w s z c z ę c i e m. — Mam zupełną wiarę, i wiem nawet, że osoba — narodu, w niejawności fatalnej pochowana, jeżeli sobie przytomny ma całokształt idei swojej, wzrastać może i wzmacniać się w sobie, walcząc sobą". („Niewola": Do czytelnika).

Oto dlaczego twierdzi Norwid w „Promethidionie", że dopiero od grobu Fryderyka Chopina prawdziwa sztuka polska się zaczyna. Chopin, jego zdaniem, tworzył tak, jak lud polski, łącząc natchnienia nieba mistyczne i objawione z upraktycznieniem ziemskiem. Co ważniejsza: on to oryginalne bogactwo narodowe upowszechniał, wnosił prawdziwy, oryginalny dorobek sztuki polskiej do wartości sztuki uniwersalnej; „podnosił ludowe natchnienia" (nie melodje i motywy, lecz natchnienia) „do potęgi, przenikającej i ogarniającej ludzkość całą, nie przez stosowania zewnętrzne i koncesje formalne, lecz przez wewnętrzny rozwój dojrzałości".

Sam Norwid, krocząc tąż drogą, uważał za swój obowiązek, jako artysty narodowego, również podnoszenie ludowości do potęgi, ogarniającej ludzkość. Nie forma, ale treść, ów „mistyczny węzeł mądrości narodowej", stanowi o charakterze narodowym twórczości. Treść ta ma być dorobkiem skupionej pracy myślicieli i tworem genjuszu narodowego, który Objawienie przyjął i własnem doświadczeniem mistycznem rozumienie jego pogłębił. Pracą poetów jest ten węzeł mądrości rozwikłać, do myśli oderwanych dorobić postaci i przez to rzucić mosty między sferą umiejętników, a prostaczkami, którzy inaczej, jak postaciami, myśleć nie potrafią. Fabuły, wątki i rekwizyty narodowe tu nie są konieczne, twierdzi Norwid wbrew temu, czego żąda powierzchowna, może nawet fałszywa krytyka narodowa. Gdy ów „kosmiczny patrjotyzm kapusty kwaśnej i hajdamackich akcentów" wyrzucał poecie, że w pismach jego niema „ułanów z wąsami" („Z niedruk. koresp". Poznań 1921, str. 37 i 40), poeta odpowiadał: „Nieobojętną jest rzeczą znać także i historję społeczeństwa chrześcijańskiego — to także coś, co p r z e c i e o b o w i ą z u j e p o r z ą d n e g o o b y w a t e l a" (*ib.* 40). Między wierszami tego powiedzenia czytamy, że poeta narodowy nietylko ma wychwalać i bawić swój naród, lecz też ma i kierować nim tak, aby w ogólnym postępie ludzkości szedł drogami, wytkniętemi przez tradycje społeczeństwa chrześcijańskiego.

Norwid nie unikał wątków i motywów narodowych, ale studja, lektura i obcowanie z ruinami świata starożytnego nasuwały mu wciąż formy i rekwizyty z epok dawnych i dziejów narodów umarłych. Ponadto sprzyjała temu jeszcze jedna okoliczność. Mianowicie: w filozofji poety rdzeń stanowiła historjozofja. Głębszy sens dziejów widoczny jest doskonale wtedy tylko, gdy się wypadki widzi w perspektywie wieków w narodzie obcym, gdy się na nie patrzy beznamiętnie i zupełnie bezinteresownie. Oto dlaczego misterja „Krakus" i „Wanda" stanowią wyjątek wśród takich utworów, jak „*Quidam*" (pierwsze wieki chrześcijaństwa), jak „Zwolon" (czas i miejsce nieokreślone), jak „Kleopatra" (starożytny Egipt) i wiele innych. „Z wysokości dziejów patrzył na rzecz ludzką" (to rzecz ludzka) poeta. Sam on umiał i na dzień dzisiejszy spojrzeć z tego beznamiętnego a wyniosłego stanowiska, ale gdy chodziło o czytelnika, nie bez racji prawdopodobnie mniemał, że dorabiając do myśli swych postaci ze świata umarłych, potrafi dać ich lepsze zrozumienie, gdyż tem samem wprowadzi czytelnika na piedestał historji, z którego widniejsze są prawdy wieczyste, kierujące biegiem wypadków, a jednocześnie odsunie możliwość stronniczości sądu, prowadzonej uczuciowym stosunkiem do bliskiej rzeczywistości.

Tak tedy, w świetle poglądów poety na sztukę narodową, cały jego formalny klasycyzm i cały jego uniwersalizm, zawarty w treści, przedstawiają się jako zjawiska rdzennie narodowe. Niema w nich naśladownictwa wzorów obcych lub powszechnych, lecz jest głębokie wejrzenie myśli polskiej w najistotniejsze sprawy świata. Myśl ta, czerpana z rodzimych natchnień ludowych, podnosi się do potęgi,

ogarniającej ludzkość całą. Poeta stwarza z prawd wieczystych niejako zwierciadło, w którem ma się przejrzeć przedewszystkiem własny jego naród. Zagadnienia aktualne przedewszystkiem absorbują Norwida. Jakie jest prawo narodów do wolności? Skąd wynika niewola narodów? Czem jest naród? Czem winna być rzeczpospolita? Jakie obowiązki nakłada własność? Kiedy własność staje się „winą" i prowadzi do zguby? Setki innych zagadnień, palących ciekawością wówczas i dziś jeszcze głowy i serca, stawia sobie Norwid i, szukając odpowiedzi w duchu chrześcijańskim, dąży do rozwikłania owego „mistycznego węzła narodowej mądrości".

Możnaby było uogólniając powiedzieć, że za zadanie artystycznej pracy narodowej uważał Norwid stworzenie religijnego kierunku dla całej sztuki, opartego na prawdach religji objawionej i na idealizmie filozoficznym. Taką misję chciał dać rodzimej kulturze narodowej. Co więcej, słusznie uważał, że ta kultura, w osobach najwybitniejszych swych poetów i filozofów ówczesnych, już przedtem to stanowisko przyjęła. On, Norwid, stawał się tylko teoretykiem, który istniejące już zjawiska określał, precyzował teorję i przez to nadawał większy rozpęd twórczości przez uświadomienie twórcom podstaw ideowych i programowe ich wykonywanie.

Misja taka dla narodu na owe czasy była bardzo aktualna i taką do dziś pozostała. Kiedy Norwid w Warszawie drukował na łamach czasopism pierwsze swoje wiersze, zagranicą kiełkować zaczynały prądy, które nam dziś są aż zanadto dobrze znane ze swych owoców. Proudhon wypuścił właśnie w świat książeczkę „*Qu' est ce que la propriété*?", w której dochodził do wniosku: „*La propriété c'est le vol*". Wkrótce wygłosił on i drugą, zbyt dobrze znaną dziś maksymę: „*Dieu est le mal*". W tym samym roku, w którym ukazała się książka Proudhona, świat ujrzał również „*Das Wesen des Christentums*" Feuerbacha, którego ateizm zjawił się nagle, jako jedna z konsekwencyj heglizmu. Max Stirner wymierzył w chrześcijańskie podstawy kultury swoją książką „*Der Einzige und sein Eigentum*", apoteozującą sofisterję i najskrajniejszy, najbrutalniejszy egoizm. W progu dziejów stał Nietzsche ze swojem ubóstwieniem nadczłowieka. Wreszcie Karol Marx już znany był z szeregu swoich prac publicystycznych i wkrótce ogłosił Manifest komunistyczny", pisany wespół z Engelsem. Te i wiele innych, drobniejszych prądów, których skutki świat dziś odczuwa, jako wielki ciężar, wówczas dopiero kiełkowały. Dla wielu były to zjawiska godne lekceważenia. Norwid ich nie lekceważył, ale też i nie drżał przed niemi tak, jak Krasiński.

Ze spokojem, godnym starożytnego mędrca, walczył z niemi, nie z pomocą polemik i kłótni, lecz przy pomocy postawienia innego, pozytywnego, nawskroś chrześcijańskiego planu przebudowy świata. Przeciwstawił się im nie przez „nie", ale przez „tak". Wykwitom innych kultur przeciwstawiał swą „sztukę narodową" jako wykwit kultury polskiej.

Niezachwiana jednolitość i konsekwencja w stawianiu tego swego „tak" wyróżnia Norwida z szeregu innych, pokrewnych mu duchem, myślicieli. Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, ze źródeł ludowych i z tradycyj narodowych biorąc te same zasady i podstawy myślenia, co i Norwid, wracali do zdrowej, twórczej religijności katolickiej dopiero po szeregu prac duchowych i po olbrzymiej pracy i walce wewnętrznej. Ta ich chwiejność, jak również wiele wybujałych, i ponoszonych przez niekontrolowaną wyobraźnię mistycyzmów, szczególniej towianizm, utwierdzały Norwida, reagującego przedewszystkiem na prądy duchowe swojej współczesności, w mniemaniu, że najbardziej potrzebny jest światu nowy, silny prąd myśli chrześcijańskiej, ujętej w ramy karności i jedności kościelnej, a skierowany ku praktycznym ujściom w życiu organizmów narodowych, któryby rozproszoną energję świata skupił i skierował ku pracy nad prawdziwym postępem.

Rozbudzić w swoim narodzie ten prąd jako wzór dla wszystkich innych, zorganizować dokoła tej ideologji wszelką pracę, „od pracy parobka, zwożącego mierzwę, do pracy człowieka uczonego", na szczycie tych prac umieścić sztuki piękne niby sztandar, oto ku czemu zmierzały wszystkie dążenia i poczynania Norwida. Na tem właśnie polegał jego „chrześcijański patrjotyzm". Na tem też polegała narodowość jego sztuki.

Swojego czasu tych dążeń Norwida nie zrozumiano. Sypały się nań oskarżenia o kosmopolityzm, o brak uczucia patrjotycznego. Domagano się od niego wątków, fabuł i rekwizytów, zaczerpniętych z życia Polaków. Dziś jednak, gdy prądy, którym Norwid się przeciwstawiał przez swoje „tak", urosły do wielkości potęg, trzęsących światem, gdy najgrubszy materjalizm, mechanizacja życia i ordynarny kosmopolityzm, coraz bardziej wygrażają pod adresem starych kultur narodowych i chrześcijaństwa, — stanowisko Norwida nabrało szczególniejszej wagi. Już nie wątpimy, że ważniejszą dla narodu rzeczą jest budowanie poglądu na świat na podstawach tradycji narodowej i chrześcijańskiej oraz kształtowanie życia według niego, niż opiewanie przeszłości i teraźniejszości narodowej. Czas i doświadczenie i w tym wypadku, jak w wielu innych, przyznały Norwidowi rację.

WŁADYSŁAW ARCIMOWICZ

UWAGI O NORWIDZIE PLASTYKU

NIEJEDNEMU z artystów, pracujących w jakiejkolwiek dziedzinie twórczości, przychodziło na myśl, czy próby wypowiedzenia się na innem od uprawianego, polu, dałyby obraz podobnej indywidualności artystycznej, odmiennemi tylko wyrażony środkami. Innemi słowy, czy plastyk, np. wyobrażając siebie w roli pisarza, mógłby odnaleźć w imaginowanych utworach literatury znamiona pokrewne wykrywanym w swych dziełach plastycznych? Pomyśleń takich nie należy uważać za czczy jedynie wymysł, pustą igraszkę fantazji: historja dostarcza nam wielu realnych przykładów. Przypomnimy chociażby Wyspiańskiego, z okazji niedawno święconej uroczystości.

Autora tych słów — zapewne nie jest w tym względzie odosobniony — pasjonowało zawsze wykrywanie więzi między tworami plastyki i poezji, w wypadku, gdy ich twórcą był jeden i ten sam człowiek. Nie należy jej rozumieć zbyt powierzchownie. Nie należy oczekiwać powtórzenia środ-

kami plastyki tego, co artysta przedtem już jako poeta powiedział (lub też odwrotnie). W dwu, z różnych dziedzin, utworach jednego artysty możemy nie znaleźć łatwo widocznych podobieństw. Możemy się spotkać nawet z pozornemi przeciwieństwami. Bo nurt wspólnoty ma głębiej wyżłobione łożysko. Kwiat i łodyga róży odmienną posiadają treść, tem nie mniej łodydze róży tylko jej kwiat odpowiada, a zestawiona z bratkiem, np., nigdy nie stworzy harmonijnej całości. Nasze pobudki, pragnienia, czyny, mogą być różnorodne, a nawet czasem sprzeczne z sobą, ale wszystkie z jednego płyną źródła: z nas samych. Dlatego zabarwia je, choć różnorodne, jakiś zasadniczy, górujący nad innemi, ton. Człowiek-artysta, tworzący jednocześnie w kilku dziedzinach sztuki, odmiennością poczynań nie powtarza obrazu swego (to samo mówiąc innemi słowy), lecz go uzupełnia.

Żarliwi biografowie przetrząsają dokumenty, myszkują wszędzie, by odbudować w życiorysach, dzień po dniu dzieje wielkich żywotów. Ich gorliwe wścibstwo wyglądałoby na zwykłą niedyskrecję, gdyby chodziło o przeciętnych śmiertelników. Usprawiedliwia jednak cel. Pragnienie odtworzenia najwierniejszego, napełniejszego obrazu twórcy, jego postępowania, pobudek nim kierujących. Nieraz drobiazg napozór nikły może się stać użytecznym przy naświetlaniu dróg twórczości. A cóż dopiero jeśli chodzi o poznanie całej połaci życia i pracy ważkiej, lecz wtórnej, wobec ogromu dokonań w zasadniczo i przedewszystkiem uprawianej gałęzi sztuki. Tak ma się sprawa z Norwidem. Ponieważ malować uczą, a szkół dla poetów niema, Norwid, poeta, słusznie mógł się uważać za plastyka z wykształcenia (w naszem Muzeum Narodowem mamy obraz jego nauczyciela, Al. Kokulara p. t. „Edyp i Antygona"). Jego dorobek plastyczny pokaźny, aczkolwiek nie składający się z większych rozmiarami dzieł, jest nam znany w stopniu wysoce niedostatecznym. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, iż nawet całkowite ujawnienie spuścizny plastycznej Norwida nie wpłynie na zmianę stanu rzeczy: jego malarstwo zajmuje niedwuznacznie miejsce wtórne wobec wartości utworów poetyckich. Lecz z drugiej strony zważmy: czy wielki poeta myśliciel mógłby nam przekazać tyle myśli ważkich o sztuce, jej zadaniach, roli, posłannictwie wreszcie, gdyby sam nigdy z nią się nie stykał praktycznie i bezpośrednio? Dostępne nam są również studja, w jakiej mierze w swych pracach malarskich próbował realizować własne wskazania.

Norwid uprawiał rzeźbę, malarstwo i grafikę. Jako malarz, stylem i ujęciem swych prac daleko bardziej związany z epoką, niż twórczością poetycką, mógł spotkać się z większem uznaniem współczesnych. Świadectwa ich jednak, o poczynaniach plastycznych poety, czasem brzmią aż nazbyt skromnie. Rastawiecki w swoim „Słowniku rytowników polskich" pisze o Norwidzie (str. 217): „Żyjący poeta, trudniący się cokolwiek rzeźbą, litografją i rytownictwem. Jest jego parę kwasorytów". To wszystko.

Dorobek malarski autora „Promethidiona" był znacznie większy: poeta w drugiej połowie życia utrzymuje się głównie ze sprzedaży akwarel. Lubił, może najwięcej, technikę akwarelową, o czem pisał do Lenartowicza: „Maluję głównie aquarellą, bo o wiele wieków od olejnego starsza i większą gammę obejmuje". A kiedyindziej: „Miałem był zarozumiałość powiedzieć kilku artystom głośno, że chcę tam doprowadzić aquarellę, gdzie jeszcze nie była, to jest, aby porówni i więcej niż olejne wyrażać mogła wszystko. Czyli — nie żeby były *„sujets d'aquarelle"*, ale żeby nią swobodnie m y ś l e ć można było". (Podkr. moje. „Chimera", tom VIII, str. 434).

Mimo wzmożonego zainteresowania się Norwidem, po „odkryciu" przez Miriama, chęć badania dorobku malarskiego poety bynajmniej nie wzrosła. Z dwu współczesnych dzieł, poświęconych historji malarstwa polskiego, jedno (E. Niewiadomski „Malarstwo Polskie XIX i XX wieku") nie wymienia wcale Norwida, drugie (F. Kopera „Dzieje malarstwa polskiego", tom III, str. 417) poświęca mu 7 wierszy. Czytamy tam, między innemi: „Dyletantem (!) był Cyprjan Norwid... Większość jego prac cechuje pewna zagadkowość, a nawet dziwaczność..."

Bardzo charakterystyczne światło na plastykę Norwida rzucają, wybierane przezeń do odtwarzania, tematy. Są to przeważnie sceny „rzymskie", mitologiczne, biblijne, fantazje, alegorje. Prawie nigdy — z wyjątkiem drobnych szkiców z natury, rysuneczków, karykatur — rzeczywistość najbliższego otoczenia. Kilka bardziej rozwiniętych kompozycyj wykazuje dostateczne opanowanie wiedzy rysunkowej. Postacie swe kształtuje Norwid nie na podstawie obserwacji, a raczej na wiadomościach o budowie kształtu ludzkiego. Zawierają też one w sobie pierwiastek mózgowy, nadający im nieraz znamiona pewnej beznamiętności, gdyż powstały z obmysłu, a nie z odczucia i zanotowania indywidualnych odchyleń natury. Norwid, żyjący w przededniu impresjonizmu, psychiki impresjonisty nie miał. Znamienne są jego wynurzenia w liście do M. Trembickiej: „...Impresja albowiem jest, podobnież jak mówiłem o stołach, działaniem bezpośrednim *(immédiate)*, ekspresja zaś jest, skoro widzimy naprzód przedmiot naturalny, potem przepracowywamy to pojęcie w duszy naszej i oddajemy przez ekspresję — (Pan Bóg pożyczył nam nas samych)". („Chimera", tom VIII, str. 380). W innem miejscu zaś, pisząc o fotografjach: „fotografów Mickiewicza jest kilka z różnych lat i każdy do drugiego niepodobny — my zaś, robiąc nie powtórzenie ślepe momentu jednego, dajemy portret wielu tej samej osoby momentów — dajemy momentów sumę".

Stanowisko takie, przeciwstawne późniejszym poglądom impresjonistów, podkreślających j e d y n o ś ć m o m e n t u, świadczyłoby o pragnieniu syntetyzowania i jest, jak się nam wydaje, w zgodzie z postawą poetycką Norwida. Do wyjaśnienia tych poglądów przyczyni się wiadomość, iż ulubionym mistrzem poety-plastyka był Leonardo da Vinci. Leonardo, który studjował tajemnicę mimiki, pragnąc utworzyć prawidła i przepisy, by na ich podstawie można było nadawać twarzom na obrazach dowolny wyraz. Ta dążność do wykrywania praw, rządzących zjawiskami pozornie nieuchwytnemi, cechowała i Norwida.

Na tem kończymy naszą skromną notatkę, nie mając w niej oczywiście pretensji postawienia sylwetki Norwida-plastyka. Pragnęliśmy jedynie odegrać rolę reflektora, rzucającego światło na pewne sprawy i zagadnienia, w nadziei, iż zainteresują one bardziej powołanych i skłonią ich może do skreślenia wyczerpującego obrazu działalności plastycznej poety, przyczyniając się tem do głębszego wniknięcia w twórczość tej wielkiej i trudnej postaci.

WIKTOR PODOSKI

ZIEMIA I CZAS

(URYWEK Z POEMATU „*A DORIO AD PHRYGIUM*“)

W Serjonicach dziś jestem. Serjonice
Że poważnym były ongi grodem,
Gwagnin pisze, kawaler złotej ostrogi.
I kronikarz inny to powtarza,
Kronikarze zaś, cokolwiek skreślą,
Dla mieszkańców starczy. Starczy ile,
Świadczą o tem baszty, gdzie stopa ludzka
Nie zbłądziła od lat niepamiętnych...
Na podzamczu Serjonic, także i w karczmie
Nieobojętny jest lud na dziejów miejsca:
Z różnoszybnych gdy poziera okien
I dzban chyli, — gada coś o DUCHU...
Serjonicki pan arcy jest znany
Pod przezwaniem „Salomon“ (herbu „Przyjaciel“),
Człowiek zacny i który świat widział —
Znan jest w Wiedniu, gdzie u Arcyksięcia...
Żony nie ma, nigdy onej nie miał,
Córki nie ma — jedno siostrzenicę.
Tej ja postać i urok wiewniej postaci
Opiewałbym, gdybym był poetą —
Opiewałbym rymem Virgiljusza,
Danta rymem jej oczy, Hafiza zwrotką
Drżący jej włos na czole...
Zwano ją Różą —
Iż trzeba było nazwać...
Byłaż nazwana?

— — — — — — — — — — — — — — —

Jak gdy kto ciśnie w oczy człowiekowi
Garścią fijołków i nic mu nie powie...
Jak gdy akacją zwolna zakołysze,
By woń, podobna jutrzennemu ranu,
Z kwiatami białemi na białe klawisze
Otworzonego padła fortepianu...
Jak gdy osobie stojącej na ganku
Daleki księżyc wpląta się we włosy,
Na pałającym układając wianku
Czoło, — lub w srebrne ubiera je kłosy...
Jak z nią rozmowa, gdy nic nieznacząca,
Bywa podobną do jaskółek lotu,
Który ma cel swój, acz o wszystko trąca,
Przyjście letniego prorokując grzmotu,
Nim błyskawica uprzedziła tętno: —
Tak...
Lecz nie rzeknę nic, bo mi jest smętno...

— — — — — — — — — — — — — — —

NOMINALNY Czas - dziejów nie trzyma w dłoni
Zamaszystej swej kosy, ani jej ostrzem
Podchwytuje ludzkość i polny kwiat —
On tylko społeczność nominalną
Podsuwa pod profile postaci różnych.
Tak, gdyby kto Etruskie czarne rysunki
Na czarne tło przeniósł, zniknęłyby w tle.

Z niewiastą cóż być ma, gdy społeczność
NOMINALNIE ISTNIEJE? Ta zaś jest czem?
Skoro senat w mundurach szambelańskich
Poza Ojczyzną — armja gdy w szeregach obcych —
Parlament w dziecinniejącej pogawędce —
Salony ledwo że modą żywe —
A udawającemi zdań zamianę
Monologami są rozmowy!...

„BAWIĆ NA WSI!“ te dwa tylko słowa
Pozostają jak z okrętu okrzyk:
„ZIEMIA! ZIEMIA!“ gdy dni wiele i nocy
Żagle twoje pękały od wichru.
Wielokrotnem popstrzone łataniem,
Jak chwiejący się w łachmanie nędzarz,
Drżą — te słysząc słowa: „ziemia! ziemia!“

Na wsi bawić. Dopókąd wieś jeszcze
Niezupełnie jest *Czemś nominalnem!*
Ziemia bowiem, jakkolwiek pokorna,
Tak, że się ją depcze wciąż i depcze,
Ziemia nawet uprawianą chce być
Ręką wolną! — Nienajdłużej ona,
Niewolnikom się ścieląc pod łańcuch ich,
Wdzięczną chce być — i może!

Dnia jednego, jednej nocy... pewnej chwili
Zapomniany zegar, gdzieś na niepomnej wieżycy
Jaskółczemi pozornie osklepion gniazdy,
Zawróci nagle rdzawe koła...
I wyjęknie, że czas jest — tylko to rzecze,
Nic nie mówiąc więcej, lecz, że JEST CZAS...

— — — — — — — — — — — — — — —

O! wsi biała w atłasie kwiatów jabłoni
I w zwierciadłach księżyca,
Jako oblubienica
Na ustroni...

PRZESZŁOŚĆ twa — zawsze wczora!
PRZYSZŁOŚĆ — ręką dosiężna,
U ciebie zawsze — pora!
Tyś wczasów księżna...

Tyś u siebie zawsze, jak umysł zdrów,
Czy w Palmowym kraju posuchy,
Czy w zieleni brzóz — w złocie mchów,
Jak gajowe rozkoszna duchy.

Tobie, owszem, dziejów wydąża praca,
Jako trzoda jałówce błędnej,
Gdy ku tobie i sam pasterz nawraca
Tłum nieoględny —

Alić znagła strach milczkiem blisko
Przypadł — górne prysnęły lody,
Chat stu zgasło ognisko —
Jeziorami ogrody!

Dęby płyną wyrwane z ziemi,
Cisza klęski dwakroć przeraża,
Fale brudne przez mur cmentarza
Biją trumny ciężkiemi —

Lecz o górnych kto myślił lodach,
Niskie przecierając szyby?
O rumianych prędzej jagodach
Lub gdzie się węźlą grzyby...

— — — — — — — — — — — — — — —

Pogody równej,
W oddechu płuc, w duchu, w biciu serca,
Czuć nie może, kto nie zna wsi Polskiej,
Społeczności, będącej niby idyllą,
Niby wykwintnego świata kaprysem,
Czy po NAD czy po ZA historycznym?
Nie wiem — świat to osobny zda się,
Coś, jak fortunne — wyspy starożytne,
Dziejów mające wdzięk — nie trud i ciąg.

Czasem tylko żyd, jak starożytny obelisk,
Ten sam, co za Faraonów, przy drodze stoi
I odpomina wieki — niekiedy bywa,
Że utrafiony pługa ostrzem pancerz
Wyrzuci kmieć na miedzę, a pacholęta
Pobrzmiewają weń — bywa, niekiedy,
Że w zamkowej tej lub owej sali
(Gdzie owoce się suszą) ściemniały portret
Obsunie się wraz z gwoździem zjedzonym rdzą...
Tyle dziejów! Historja jako fenomen,
Przypadkami się ledwo odpomina.

1866 — 1872

CYPRJAN NORWID

NA WIDOWNI

O Cyprjanie Norwidzie w pięćdziesiąt lat po jego śmierci, o jego komentatorach i o potrzebie uczłowieczenia jego osobistości.

CYPRJAN NORWID jest wyjątkowem zjawiskiem w naszej literaturze i wogóle wyjątkowem zdarzeniem w polskiem życiu umysłowem XIX wieku. Smuga jego żywota osobistego (ur. 1821) i pośmiertnego w dziełach ściele się na przestrzeni 100 zgórą lat. Obecnie 23 maja obchodzimy pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci. Wystąpił na widownię literacką 1839 r., tworzył do samej śmierci lat zgórą 40. I wiele pisał. Pisarzem był i artystą plastykiem niepospolitego umysłu i talentu. Zajął zwłaszcza wybitne miejsce w poezji. Ale w społeczeństwie o tem nie wiedziano. Dziwny był los jego, że tak wsiąknął w czasy swoje jeszcze za życia, nie dosięgnąwszy promieniami do ziemi. Był w tem dramat jego osobisty — pełen goryczy zeszedł ze świata.

Upłynęło dobrych 20 lat, zanim w historji i krytyce spostrzeżono się, że stała się Norwidowi jakaś krzywda, że zeszedł ze świata w okolicznościach tajemniczych. Oskarżono współczesnych niemal o skrytobójcze morderstwo, że zatruli mu życie, zadusili sławę, ukryli jego dzieła. Ćwierć wieku zgórą trwa proces krytyki z historją. Dokonano ekshumacji wielu dzieł niewydrukowanych dotąd, jakby zbojkotowanych. Poddano je szczegółowym rozbiorom; akta sprawy urosły do rozmiarów bibljoteki.

Sprawę rewindykacji wszczęto w „Chimerze", więc z ramienia Młodej Polski, prokuratorem zaś był Zenon Przesmycki (Miriam). Kierunek nadany wtedy procesowi, trwa dotąd; duch tego okresu literackiego panuje dotychczas we wszystkich nad Norwidem pracach. Jest to kierunek krytyki, przeciwny historyzmowi i personalizmowi, hołdujący metodzie estetycznego rozważania tekstów. Ponieważ „Chimera" poczytywała swoją dobę literacką za szczytowy moment rozwoju sztuki i pojęć estetycznych, a w Norwidzie upatrzyła pewne cechy pokrewieństwa z sobą, więc najwyższą dla Norwida pochwałę sformułowano w ten sposób, że był to poeta „przyszłościowy". Epitet ten powtarza się często w komentarzach do utworów Norwida, przez Miriama wydanych [1]).

To stało się przyczyną, że Norwid, pomimo znacznego ruchu, jaki koło niego sprawiła krytyka, dotąd znany jest tylko w pewnych kołach amatorów i specjalistów polonistyki. Błędne było przedewszystkiem założenie, wzięte z zasad ewolucjonizmu, że każdy następny okres jest wyższy od poprzedniego i że przez to „przyszłościowość" w sztuce coś znaczy. Ową przyszłością Norwida był, dajmy na to, modny wówczas Tadeusz Miciński. Z tego zestawienia wynikało, że niejasność myśli, z której dotąd robiono zarzut Norwidowi była właśnie jego główną wartością artystyczną.

Rzecz działa się w Warszawie, gdzie dotąd poetom wogóle się nie szczęściło z powodu niskiej kultury artystycznej tego wielkiego środowiska. „Chimerze", dla której udało się redaktorowi Przesmyckiemu zdobyć obfitą tekę utworów pośmiertnych Norwida, zależało na doraźnem wywołaniu entuzjazmu dla jego dzieł. Nie szczędzono też superlatywów, które w kłopot wprawiały czytelników, z Norwidem nie oswojonych i nie umiejących go czytać. „Chimera" była wówczas (koło r. 1908) prawodawcą dobrego smaku artystycznego; Przesmycki, jako krytyk, cieszył się powagą bezapelacyjną, która przetrwała do czasów ostatnich, bo gdy przyszło do obsadzenia stanowiska ministra kultury i sztuki, opinja na nim właśnie wzrok zatrzymała.

Powaga ta była tak obowiązująca dla krytyki w Warszawie i Wilnie (tu się głównie zajęto Norwidem), że narzuciła jej i pogląd ogólny i metodę badania. Temat musiał być modny, skoro pisarze panegiryczni nowości, jak Cezary Jellenta, uznali dla siebie za konieczne głos zabrać. Zrobiono z Norwida „nowość" współczesną, zamiast go traktować historycznie, wyścig w superlatywach zapędził miłośników poza ramy krytyki, w sferę kultu i pojęć zgoła mitologicznych. Powstało na tle sprawy Norwida wtórne zjawisko literackie, które znowu wykoleiło poetę, jakby przez reakcję na dawne lekceważenie, na tory przesadnej gloryfikacji. Należy to powiedzieć, aby uprzedzić nową reakcję, która już byłaby zbyt wielką dla Norwida krzywdą.

O dziejach literatury, w związku z takiemi zdarzeniami jak Norwid, nie można mówić, że „co z woza spadło — to przepadło"; owszem, można i trzeba to, co spadło, podjąć nanowo. Ale gdy się odjechało z wozem już przestrzeń 50 lat, to należy wrócić po to szlakiem historycznym i w odpowiednie miejsce wstawić, nie podając za nowe utworów, które się dają zrozumieć tylko w świetle swojego czasu. Założenie Przesmyckiego, że poezja Norwida „nie ma w sobie nic czasowego, nie przemijającego i raczej z wersetami starożytnych ksiąg religji czy mądrości porównaćby się dała" (tamże, 549), — nie da się utrzymać, jeśli chodzi o wybór metody badania naukowego, a zwłaszcza o uprzystępnienie dzieł poety szerszemu kołu czytelników.

Kamieniem obrazy między Norwidem a społeczeństwem czytającem była i jest jego „niezrozumiałość". Cierpiał z tego powodu za życia sam Norwid i teraz narzekają na to uprzedzenie badacze jego pism. Z tego powodu literatura Norwidowa pełna jest pierwiastku polemicznego, adresowanego do krytyki i czytelników wogóle. Bywały takie nieporozumienia przy narodzinach każdego niemal oryginalnego talentu czy prądu, ale tutaj spór trwa lat dziesiątki, wznawia się w każdem pokoleniu i nie jest bynajmniej chwilowym objawem neofobji.

Nie tylko więc same dzieła Norwida, ale i ten stosunek doń umysłowości powinien ulec zbadaniu. Historja literatury zajmuje się nie samemi tekstami, ale zjawiskami literackiemi, a więc i refleksami społecznemi dzieł.

Uwielbienie dla Norwida tę zasadę przysłania i nie pozwala wybrnąć z zatargu z rzeczywistością dziejową. Darmo badacze pism Norwida będą po-

---

[1]) Przesmycki sam o tem pisze: „Gdy ukazał się przedruk „Promethidiona", było to dla artystów dzisiejszych jakby objawienie. Objawienie wszakże niezupełne, bo w poemacie czytano jeszcze nazbyt nie autora, lecz siebie, a raczej to, co ze zwycięskiej tymczasem reformy prerafaelickiej wchłonąć zdążono" (Komentarz do „Poezyj wybranych", 1933, str. 549).

wtarzali, że Norwid jest, według nich, zupełnie zrozumiały. Ani na chwilę nie śmiałbym powątpiewać, że są szczerzy, że sami rozumieją, ale to nie rozstrzyga sprawy poczytności i popularności. Jeżeli o tę część zjawiska literackiego chodzi, o tę wziętość powszechną lub jej brak, to zbadaniu podlegać będzie kwestja psychologiczna, dlaczego Norwid nie jest dla mas pociągający. I tu sięgnąć trzeba będzie do personaljów Norwida, poza teksty.

Wiem po sobie i dlatego wierzę norwidologom, że utwór Norwida staje się ponętny wtedy, kiedy się go przeczyta przynajmniej 20 razy, zwłaszcza gdy się spisze prozą jego treść i w nią wniknie, to znaczy wtedy, gdy się stanie własnością umysłową czytającego. Wtedy daje się odczuć w pełni piękno i kunsztowność formy, polegająca głównie na szaradowej lapidarności i dowcipnej aforystyczności, a zarazem muzyczności.

Dlaczego tak jest? Na to trzeba odpowiedzieć i w tym celu sięgnąć do psychiki poety, a tego nie zrobiono. Byłoby to nietylko rozpoznanie zjawiska wtórnego, jakiem jest reakcja odbiorcy, ale zarazem rozpoznanie psychiki twórczej Norwida jako przyczyny. Szereg artykułów o Norwidzie, któremi czytelników usiłowałem zająć w ostatnich czasach, miał na celu wprowadzenie badań na te tory. Może kiedy ten szereg zaokrąglę.

Mojem zdaniem, schemat zagadnienia jest dość prosty. W każdym podręczniku psychologji, zajrzawszy do rozdziału traktującego o psychologji piękna odczuwanego, znajdziemy, jako pierwszy warunek wzruszenia bezpośredniego, — jasność. Nie o to ostatecznie chodzi, żeby czytelnik czy słuchacz myśl poety rozumowo pojął, lecz o to, żeby mu się jasno w duszy zrobiło, żeby piękno przypadło mu do duszy, — chodzi o jasność psychiczną: „Twoja poezja jest moją, porywa mnie tak, jak zamierzyłeś“. Poecie łatwo to osiągnąć, jeżeli sam jest w prądzie życiowym, jeżeli wyraża to, co ludziom w duszy tętni. A ponieważ życia główny masyw — to życie uczuć, więc najłatwiej trafić do duszy środowiska, potrącając struny uczuciowe. Zwłaszcza Polacy, zwłaszcza po wielkich wzruszeniach romantycznych, przywykli do tego, żeby poeta nastrajał ich uczucia i organizował ich świadomość uczuciową. Poezja romantyczna nie była przecież zawsze jasna dla rozumu („Dziady“, Słowacki, Krasiński), a jednak jakże zaćmiła wszystkie wzruszenia, jakiemi dawniej ich darzyła pełna jasności myślowej poezja Wieku Oświecenia! Poezja polska, czy klasyczna czy romantyczna, miała jednak to wspólnego i na tem opierała zażyłość z czytelnikami, że była związana korzeniami z życiem, że była w gruncie rzeczy realistyczna i myślowo indukcyjna; prowadziła ludzi za rękę od życiowych wyobrażeń i doznawań do coraz szerszych uogólnień myślowych, w dążeniach wiodła do ideału, w pięknie artystycznem — do symbolu.

Otóż Norwid był w stosunku do tej normy wyjątkiem: jego postępowanie artystyczne w poezji było wręcz odwrotne. Za punkt wyjścia brał założenia ogólne i dla nich szukał dedukcyjnie, okiem artysty, potwierdzeń w szczegółach rzeczywistości. Porządek jego wyobraźni odwrócony: naprzód idea, potem jej uzewnętrznienie w jakimś „hieroglifie“ rzeczywistości. Rzeczywistość sama przez się jest niczem, dopokąd idea (przy pracy człowieka) nie powoła jej do jakiegoś znaczenia w świecie prawd wiekuistych. Poezja Norwida jest poezją nie tego, co jest, lecz znaczeń. Każdy obraz tak wyobrażany układał się w szaradę: „co to znaczy?“ Od koncepcyj ogólnych, od urobionych przedtem przez ludzkość prawd, ideałów i symbolów poeta wiedzie swego czytelnika do alegorji. Jest artystą, jeśli chodzi o obraz, ale psychicznie działa na odbiorcę deprymująco, albowiem nie jasność uczuciowa im obu towarzyszy, lecz rozgoryczenie, jako że prawda jest zapoznana w świecie, że „Słowo“, wiodące swój ród z nieba, nie jest słyszane i że wogóle nie tak jest, jak być powinno.

Odbiorcy ciemno jest i zimno. Symbol ma swój puls, alegorja jest zimna. A ponadto gorycz i—co ważniejsza w sztuce — wielka zawiłość myślowego rysunku. Norwid robi wrażenie, jakby płynął pod wodę, a czytelnik jest stworzeniem, które gładzą pod włos. Norwid jest dydaktą, głoszącym prawdy, wykładającym zwłaszcza zasady filozofji piękna, jako regulatora wszystkich aspiracyj idealnych, a nawet życia praktycznego. Postawę ma wobec ludzi moralisty, ale właściwie jest zawsze artystą, który sobie upodobał w pięknie wielkich idej.

Uczuciowość Norwida jest animozją poszukiwania prawdy w zjawiskach świata realnego, przy ciągłem ich poszlakowaniu, że prawda odwieczna tu była, ale została zmarnowana. To go robi historjozofem, idealizującym daleką przeszłość, pesymistą zaś w odniesieniu do obecności. Wszelka inna uczuciowość, można powiedzieć, była mu obcą. Typ duchowy aspołeczny, źle się czuł w epoce wrzeń rewolucyjnych, domagającej się od poetów bezpośrednich świadczeń natury uczuciowo - aktywnej. Umysł Norwida trzymał się zakresu, najmniej budzącego w społeczności zainteresowań, zagadnień poznawczych, i to w dziedzinie specjalnej, najbardziej od życia oderwanej — poszukiwania prawdy przez piękno. Tem się tłumaczy luźny jego stosunek do epoki i wogóle do umysłowości polskiej, nie mającej skłonności do myślenia spekulatywnego.

A do tego dołączają się mnogie inne okoliczności, zarówno zewnętrzne, które miały wpływ na wychowanie Norwida, jak i te własności osobiste, które życie jego czyniły bardzo podobnem do jego twórczości pisarskiej. Tutaj dałby się może odnaleźć i pierwiastek rasy, owego pochodzenia normandzkiego, którem tak chlubił się poeta. W każdym razie tylko przez zbadanie dokładne jego życia można dociec, dlaczego tak pisał, a nie inaczej, dlaczego mianowicie umysł jego tak wdzięczną stał się glebą dla posiewu filozofji idealistycznej, padającego na Polskę z wiatrem zachodnim. Wtedy dowiedzielibyśmy się, jak daleko sięgała oryginalność jego, jako myśliciela, czem był właściwie: myślicielem, czy artystą (bo i tego, jak widać, nie jesteśmy pewni), a wreszcie, dlaczego — wskutek jego osobistych właściwości, które go skłócały z ludźmi — najbliżsi mu współcześni nie pomogli jego dziełom stać się głośnemi, nawet znanemi,

Z tych względów uznałem za konieczne w pracy swojej o Norwidzie wyłamać się z szeregu kontemplatorów jego słowa w oderwaniu od historji jego osobistej. Wydaje mi się, że uczłowieczenie z powrotem tego niepospolitego pisarza jest pierwszym warunkiem zrozumienia go i oddania mu przez to należytego hołdu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

Z NASTANIEM „NORMALNYCH" WARUNKÓW BYTU PAŃSTWOWEGO wiele pojęć wypaczyło się trochę nienormalnie. Nikt nie zaprzeczy, że pojęcie sportu np. połączyło się (w klasie wyższej) nader ściśle z pojęciem subwencji państwowej. Mniej może ściśle, lecz też zażyle związała się z subwencjami państwowemi literatura, zażyle także sztuka. I nie jest to w gruncie rzeczy zjawisko niepomyślne lub niezdrowe. Poparcie literatury przez państwo może być wielce pożyteczne nawet; to przypadek zdarza, że państwo popiera właśnie bezpożyteczną „*Pologne Littéraire*". Podobnież ambicja państwa w dziedzinie sztuk pięknych wydać może wyniki wiekopomne, to przypadek tylko, że stworzyła ogromny barak Banku Gospodarstwa Krajowego. Zasada jest zdrowa; przypadek znowuż zdarzył, że harmonizuje zbyt łatwo z szerzonym dziś, ogłupiającym kultem „państwowości". Rozegzaltowanym zdawaćby się mogło, że wszystko dziś wynika z subwencji państwowej; z okazji przeto święconej tu Norwidowskiej rocznicy dobrze jest przypomnieć sobie, że normalny stan rzeczy jest odwrotny; że normalnie naród subwencjonuje państwo. Im głębiej rzecz tę pojmiemy, tem bliżsi będziemy prawdy. Naród swoje państwo zasila, subwencjonuje, utrzymuje: przez to, że jest pierwotnem źródłem twórczości niezależnej. Norwid uprzytomnia nam głęboki sens tej prawdy. Tworzył w ponurej epoce bezpaństwowej; a przecież we wskazaniach poetyckich zostawił wzory i modele, podług których urządzić się w wielu dziedzinach pilno dzisiejszej Polsce wolnej. Wśród młodego pokolenia artystów niczyje może imię nie jest wymawiane z takim szacunkiem, jak Norwida; nic dziwnego, że pragnącym uprzątnąć obce śmieci, któremi tak szczodrze obsypał Polskę wiek ostatni, na sercu leży bardzo Norwidowy ład. Otwierający oczy na rzeczywistość polską we wszystkich zaiste dziedzinach życia widzą, że „rozbiorem kraju forma pokrzywdzona woła o łokieć z trzciny w ręku pańskiego anioła". Dzisiejszemu młodemu pokoleniu poezja Norwida przynosi potężny impuls, aby reformę „estetyczną" pojmować jaknajszerzej i urzeczywistnić na wszystkich polach: i we wszystkich dziedzinach życia dojść do ładu.

WŚRÓD WYKSZTAŁCONYCH LUDZI W POLSCE wielu jest takich, którzy nigdy w ręku nie mieli pism Norwida. Ci, próbując czytać po raz pierwszy, przeważnie wyrażają zdziwienie, że tak niezrozumiały poeta wogóle jakikolwiek wpływ wywrzeć mógł na umysły. Nie zamierzamy rozprawiać się tutaj z poglądem o niezrozumiałości Norwida; faktem jest natomiast, że zhołdował sobie umysły i zjednał w szerokim kręgu czytelników miłość poeta, żonglujący paradoksem i piszący ciemno, bo stale obwijający swą myśl metaforami, nieprzejrzystemi na pierwszy rzut oka. Czem wytłumaczyć sobie jego dziwną popularność? To pewna, że mało tu oddziałała „moda na Norwida"; „kultu" Norwida niema, jest żywy stosunek do autora „Promethidiona". Wczytując się w jego pisma, i śledząc grę myśli, odnosimy nieraz wrażenie, że autor ten, gdyby dziś żył, pisałby więcej prozą. Czy krępowała go forma wierszowa, obowiązująca wieszczów w tamtej epoce? czy jest dziś przeszkodą do poznania autora? Wydaje nam się, że nie; że tajemnica wpływu Norwida na młode pokolenie artystów tem się niemało tłumaczy, iż to, co im leżało na sercu, znaleźli wypowiedziane w wersetach rytmicznych, poetyckich. Forma mowy wiązanej, „najpotężniejszej postaci mowy", jak poezję nazwano, ułatwiła bardzo przyjęcie i przyswojenie formuł Norwidowych o sztuce. — Ale zauważamy też, że ogromna większość utworów Norwida pozostaje i dziś dla najczulszych odbiorców dziedziną nieznaną: nie przez to, że (po dziś dzień) częściowo niewydaną, lecz przez to, że poprostu nieczytaną. I miłośnicy niezżyli się dotychczas z całością przemyśleń Norwidowych; ciekawe; czy pójść zechcą dużo dalej w ten świat paradoksów i metafor?

POLITYCZNE POGLĄDY CYPRJANA NORWIDA

WRODZONA orginalność myśli oraz niezawisłość duchowa Cyprjana Norwida odbiła się również w jego poglądach politycznych, których różnice z zapatrywaniami ogółu szczególnie jaskrawo uwydatniły się w obliczu wydarzeń z lat 1860-1 i 1863-4.

Że Norwid posiadał głębokie poczucie narodowe, na to dowodu dostarczają liczne, szczególnie z wcześniejszego okresu, utwory, z takiemi arcydziełami liryki potrjotycznej, jak pobrzmiewająca jeszcze echami mesjanizmu „Pieśń od ziemi naszej", jak po przepłynięciu Oceanu napisana, w tęsknocie oddalenia idealizująca wszystko, co polskie „Moja piosenka", jak natchniona „Litanja" czy piękna „Dedykacja", pełna uwielbienia dla męczeńskiej Warszawy, czy też żałobny rapsod, poświęcony bohaterskiej „Bema pamięci" i wiele innych, drobniejszych wierszy. Dowodzi tego „Promethidion", propagujący ideę narodowej sztuki i stylu polskiego, wreszcie takie prace, jak „Memerjał o młodej emigracji", jak dramaty lechickie „Krakus" i „Wanda", a przedewszystkiem „Zwolon", niezwykle ciekawie aktualny problem narodowy ujmujący. Z czasem jednak, w umysłowości Norwida, pojęcie patrjotyzmu, jako instynktowej miłości kraju ustąpiło poczuciu człowieczeństwa w Polaku.

Wiadomość o wydarzeniach z lat 1860-1, o „poruszenu mas, nieomal z religijną egzaltacją graniczącem", wywołała w Norwidzie pełne podziwu uznanie dla heroizmu ludu warszawskiego, którego wyraz znajdujemy w „Improwizacji na zapytanie o wieści z Warszawy":

„Pytasz: co mówię, gdy warszawskie dziecie
Wstawa oparte na cudzie?
Bogu dziękuję, że jeszcze na świecie
Są oryginalni ludzie.

Dlatego być tam nie mogąc, gdzie łkanie,
Ni w pierś przyjmować zaczepki,
Milczę przynajmniej... mam uszanowanie
Dla Achillesa kolebki."

W zasadzie atoli jest Norwid przeciwny wszelkim daremnym ofiarom, jak o tem pisze w liście do przyjaciela, B. Zaleskiego:

— „Nie ofiary — nie! ofiary Polski nie wybawią... Nie ofiary brak narodowi, który już

nie ma co ofiarować, ale brak miłosierdzia. A miłosierdzie rozwinąć się nie może wśród tak niemiłosiernych dogmatów wiary narodowej. U nas poświęcenie to jest dopiero, ażeby umieć stracić wszystko dla sprawy, ale u nas jeszcze nie pojmuje się poświęcenia, jako zależącego na tem, ażeby wszystko zyskać dla sprawy".

W tych warunkach nadchodzi wybuch powstania styczniowego. Zdawałoby się, że Norwid, uczestnik imprezy poznańskiej z r. 1846, a w związku z tem więzień stanu i banita, w dalszym ciągu „przytomny" atakowi na Kwirynał w Rzymie (1848), za jego dzielną obronę zaszczycony specjalnym listem papieża Piusa IX., apologeta czynu belwederczyków, który w powstaniu listopadowem widział „odezwanie się wszystkich sił narodu przeciw mocom nieprawdy", będzie w obliczu r. 63 żywym łącznikiem „między dawnemi a nowemi laty", że dla tych siły na zamiary mierzących, romantycznych bojowników znajdzie, jeśli już nie pieśń tyrtejską, to przynajmniej braterskie błogosławieństwo. Stało się inaczej.

Krytykując ostro uznane powszechnie „dogmaty wiary narodowej", walczy w tym czasie Norwid o swój ideał „człowieka w Polaku". W liście do pani M. Zaleskiej pisze:

— „Wszystko, co patrjotyzmu i historycznego dotyczy uczucia, tak wielkie i wielmożne jest w narodzie (-(polskim)-), iż zaiste, że kapelusz zdejmam przed ulicznikiem warszawskim, ale wszystko to, czego od społecznego uczucia wymaga się, to jest początkujące, małe, nikczemne... Jesteśmy żadnem społeczeństwem... Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym... Gdyby Ojczyzna nasza była tak dzielnem społeczeństwem we wszystkich człowieka obowiązkach, jak znakomitym jest narodem we wszystkich Polaka poczuciach, tedy bylibyśmy momentalnie znamienici. Ale tak, jak dziś jest, to Polak jest olbrzym — a człowiek w Polaku jest karzeł".

W myśl tych swoich poglądów Norwid, w liście do Bartkowskiego zaleca paniom polskim wszczęcie w porozumieniu z Tow. św. Wincetego à Paulo miłosiernej akcji, mającej na celu zajęcie się pielęgnacją rannych, zarówno polskich, jak i nieprzyjacielskich, „narodowość ich oceniając na wagę chorągwi chrześcijańskiej". Zrealizuje się ten pomysł w organizacji genewskiego „Czerwonego Krzyża". Na rozpoczętą w kraju walkę, „więcej męczeńską, niż wojenną", zapatruje się Norwid bardzo sceptycznie. Wiary w powodzenie zbrojnego wystąpienia od początku nie żywi, wręcz przeciwnie dowodząc, że „heroiczny, średniowieczny bój lacki" tylko dopomoże do zreorganizowania i zahartowania, już bliskiego rozkładu, państwa rosyjskiego. Doradza więc w naszem położeniu równoczesne użycie moralnej a historycznej presji, przy pomocy „umysłowego organu (-(dziennika)-), godnego wielkiej epoki", a wywieranej „na elementa składowe państwa, skazanego przez samą Opatrzność, aby rozłożone i rozinaczone stało się..." To znów rzuca myśl odwołania się do międzynarodowego arbitrażu, którego organem ma być projektowany przez Norwida „trybunał militarny". Kongres ten, z przedstawicieli wszystkich ważniejszych państw europejskich złożony, miałby rozstrzygnąć, „czyli postępowanie armji imperatora Aleksandra jest z wojskowym honorem zgodne", osądzając, „że ta a ta armja, tak a tak postępująca, żadnej militarnej czci godna nie jest". Przytem Norwid wierzy niezłomnie, „że w miarę rozwinięcia się historycznych godności człowieka, nikt nie będzie służył w armjach, żadnego głosu-sumienia nie mających, bo nie można być zbójcą i Chrześcijaninem". Musiał Norwid wielką do tego projektu przykładać wagę, bo parokrotnie do niego powraca, m. in. wysyłając odnośne noty to do Ludwika Mierosławskiego, to do gen. Wład. Zamoyskiego.

Otóż Norwidowi chodziło o to, aby Polska, inicjując tę akcję, przyczyniła się „do posunięcia choć o krok naprzód historji świata, stwierdzając tem samem użyteczność swego wystąpienia". Bowiem, według niego, „każdy naród powstający musi coś nowego przynieść, musi być w czemś koniecznym".

W rozprawce Norwida p. t. „Walka Polska", posłanej A. Gillerowi po przeczytaniu jego pracy o powstaniu styczniowem, znajdujemy następujący ustęp: „Utrzymuję, że Polacy obecni, t. j. od lat przeszło 100, umieją bić się — toczyć bitwy, ale nie umieją walczyć". A dalej, rozróżniając pojęcie walki od bitwy, mówi: „Walka jest normalnem zadaniem Ludzkości — bitwa nie! Owszem: celem jest zupełnie bitwę umorzyć przez doskonałe postawienie planu i prowadzenie walki... Że Polacy przeciwnie idą, bo wygrywają heroicznie prawie wszystkie bitwy, a przegrywają wojny, to pochodzi z tego, co i dowodzi zarazem: że bić się umieją, a nie umieją walczyć". Czyli, że przez bitwę rozumie Norwid więcej wysiłek fizyczny, a przez Walkę wysiłek duchowy. Potwierdza nam to urywek z listu do A. Sokołowskiego: „Tam gdzie Energja jest 100, a Inteligencja jest 3, i to jeszcze w zupełnem, lokajskiem poniżeniu, tam będzie co kilkanaście lat wyskok i rzeź jednego pokolenia". Ten pogląd uzupełniają uwagi z obszernego pisma do B. Zaleskiego (zdaje się z r. 1869): „Nie rozebrały i nie rozbierają Polski mnogie bataljony zaborców, jedno raczej upijanie się nieoświeconym patrjotyzmem i brakiem cywilnej odwagi". Przeciw współczesnemu sobie pokoleniu wytoczy niezmiernie ciężkie oskarżenie, w słowach: „Jestem z pokolenia najnieszczęśliwszego z wszechhistorji świata, bo otoczonego wzgardą, o którą mniejsza, obojętnością, o którą też mniejsza, ale niedołężnością, o którą nie mniejsza, bo ta demoralizuje radykalnie... Gorzki to jest chleb Polskość!".

Ta pierwsza krytyka „dogmatów wiary narodowej", chociaż nie pozbawiona słuszności, musiała razić współczesnych, ściągając na Norwida zarzut obojętności wobec spraw narodowych. Odpierając z oburzeniem ten zarzut, sam Norwid stwierdził przecież, „że kardynalnemi pojęciami ojczystemi stanowczo się różni" od otoczenia.

W każdym razie trzeba było nielada cywilnej odwagi, aby tak jak Norwid, wbrew ogólnemu nastrojowi, nie zaprzeć się tych przekonań, wierząc, że przyszłość odda sprawiedliwość czystości i prawdzie jego myśli.

RAJMUND BERGEL

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zofja Szmydtowa, „O misterjach Cyprjana Norwida", wyd. Kasy im. Mianowskiego, Instytutu Popierania Nauki, Warszawa 1832, XII + 194.

„Kobietę każdą znudzę w czterech godzinach — ja, uważając za słuszne, iż banalne rzeczy rozpowiada, ona za niesłuszne, iż nie rozpowiadam ich". (C. K. Norwid, „Chimera" t. VIII). Trzeba przyznać, że to wynurzenie poety nie nadaje się wcale, jako *motto* do doskonałej pracy dr. Szmydtowej. Obszerne studjum o dwóch dramatach Norwida („Krakus" i „Wanda"), oparte o wzorową analizę tekstów, a uwieńczone wnioskami, zdumiewającemi bystrością syntezy — ma tylko drobne usterki, i to natury bynajmniej nie zasadniczej, bo retorycznej. Widać niedość starannie uprzątnięte rusztowanie przygotowania metodycznego. Styl niektórych wyrażeń jest zbyt może zawiły i rozwlekły w swej elegancji; nie straciłyby nic na potoczystości i wdzięku melodji, gdyby je skrócić, uprościć, wyrzucić ornamenty i niuanse, usunąć misterne, polotne skojarzenia, a związać twardo myśl z myślą. Np. zamiast zdania: „Przewaga refleksji, ujawniająca się w wielu czynnikach dramatu o Krakusie, nadaje mu charakter alegoryczny" (101) możnaby przewidzieć poprostu: Refleksja w „Krakusie" czyni dramat alegorycznym...

Tak więc praca zyskałaby może, gdyby jej nadać nieco zalet, jakie posiadają podręczniki naukowe. Chodzi o zwięzłość stylu i o zróżnicowanie akcentów na podstawie selekcji co do ważności pewnych partyj tekstu, pewnych opracowań i syntez. Warto tu przytoczyć zdanie St. Cywińskiego o książce p. Szmydtowej:

„...spokojny i opanowany ton wykładu, ścisłe przestrzeganie kanonu naukowego, niedość wyraźne wyodrębnienie rzeczy najważniejszych od szczegółów, przytłumia żywość myśli i zaciera kontury syntezy. Doskonała poprawność pracy pozbawia ją rozmachu twórczości i sprawia, że nawet nowe odkrycia budzą stosunkowo małe zainteresowanie u czytelnika, przytłoczonego perfekcją metody." („Ruch Literacki", marzec 1933)

Te drobne zarzuty nie zmniejszają uznania, z jakiem świat naukowy ocenił książkę p. Szmydtowej. Dzieło jej jest bezsprzecznie olbrzymią częścią monografji, która powstanie o Norwidzie. (T. D.)

*

Zygmunt Falkowski: „Rzecz o tragizmie „Kleopatry" C. K. Norwida". Wilno, 1933, str. 113.

Tekst Norwida jest tak trudny do zrozumienia i co za tem idzie, jasnego wyłożenia, pomysły jego i obserwacje są tak oryginalne, że ci, co go opracowują, trudzą się nad wyszukaniem słów i zwrotów prostych, powszechnie zrozumiałych i przedstawiających dokładnie rzecz Norwidową. Poważne studjum Z. Falkowskiego o tragizmie „Kleopatry" ma charakter wielkiego, ciekawego *essey*'u, o stylu, z którego widać, że autor przejmuje się bardzo tem, co pisze i ma nieco retorycznej wyobraźni. Niestety, w niektórych miejscach książki, zwłaszcza w zawilszych, wymagających poprostu konkretnego zobaczenia myśli Norwida i ścisłego wyznaczenia treści i zakresu jego pojęć — retor chwilami jakgdyby góruje nad myślicielem.

Metoda pracy ma także pewne usterki. Chodzi zwłaszcza o ustalanie pojęcia „tragizmu". W książce znajdujemy krótkie określenie, jak to autor robi. Przedstawia kilka poglądów obcych (Goethe, Hegel, J. Volkelt, M. Scheler i niewiadomo poco — mało z tragizmem związana wzmianka o H. Höffdingu), a potem przerywa ten zarys historji zagadnienia i pisze (str. 14): „zawieszając chwilowo na kołku wszelką metafizykę, a radząc się najprostszego doświadczenia, przychodzimy do wniosku, że tragizm jest zjawiskiem czysto ludzkiem"...

Czy można tak ogólnikowo przeciwstawiać metafizykę doświadczeniu? I — jakiemu doświadczeniu?

Pisząc te uwagi, nie zamierzamy bynajmniej pomniejszać znaczenia rozprawy p. F. Przeciwnie, twierdzimy, że ma ona poważne zalety. Jest w niej dobry opis tego podłoża moralnego w Norwidzie, z którego powstała „Kleopatra". Jest to studjum wszechstronne, przedstawiające wszystkie główne motywy i ideje tragedji. Poglądy swoje autor oparł na przesłankach istotnych, przeważnie przekonywająco uzasadnionych.

Przydałoby się wyprostowanie perspektywy, uporządkowanie, uwzględnienie wykładu — przedewszystkiem przez spłukanie z niego legitymowań się źródłowych i notatek i osadzenie ich — w przypisach. (T. D)

*

Władysław Arcimowicz, „„Assunta" C. Norwida, poemat autobiograficzno-filozoficzny". Lublin 1933, str. 54.

„Symbolizm Norwida nigdy nie opierał się na symbolicznem znaczeniu luźnych rekwizytów, lecz właśnie na ich powiązaniu w szeregu skojarzeń, którym odpowiadały szeregi uzależnionych od nich prawd lub maksym". (str. 2) To trafne i odpowiedzialne założenie metodyczne przyświeca autorowi konsekwentnie w całej pracy. Zaczyna więc od stwierdzania, że „Assunta" jest utworem symbolicznym, że ma przedstawiać miłość do sztuki. Sztukę pojmuje Norwid naturalnie bardzo swoiście, jako wszelką pracę o charakterze misterjum, filozofji lub akcji społecznej. „Takiej to tedy sztuki symbolem jest „Assunta". Jest ona tedy symbolem nie sztuk pięknych, lecz mistycyzmu i natchnienia, które, według Norwida, powinny towarzyszyć wszelkim pracom". (str. 3) Tu autor nieźleby zrobił, gdyby dokładniej określił ten mistycyzm, jego typ i treść. Mistycyzm jest tego rodzaju teorją poznania, która ma niewielkie znaczenie bez bliższego wyłuszczenia jej cech. P. Ar. miał dobrą okazję, a nawet w pewnym stopniu — potrzebę postawienia jeszcze raz kwestji: Norwid a romantyzm i rozstrzygnięcia jej z punktu widzenia mistycyzmu romantyków i katolickiego (to znów trzebaby określić) mistycyzmu Norwida.

Zadanie autora nie było łatwe, bo sprawę nieco zaplątał sam Norwid, nazywając swój poemat — miłosnym. (47, 48) Gruntowna znajomość dzieł Norwida i krytycznej literatury o nim pozwoliła p. Ar. z zadania tego wywiązać się bardzo porządnie, uwolnić „Assuntę" od błędnych chwytów krytyki i podać cały szereg zupełnie nowych myśli o tym poemacie. (T. D.)

NA MARGINESIE

Któż nie zna wiersza Norwida, zaczynającego się od słów „Klaskaniem mając obrzękłe prawice"? Jest tam taki, absolutnie jasny, ustęp:

„Nieraz obyczaj stary zawadziłem
Z wyszczerzonemi na jutrznię zębami,
Odziewający się na głowę pyłem,
By noc przedłużyć, nie zerwać ze snami"...

Któżby miał tu coś do powiedzenia? Rzecz przecież zrozumiała, że „stary obyczaj" nie lubi jutrzni i na nią „zęby wyszczerza". Atoli znalazł się taki esteta, który pisze jedną i tę samą książkę naraz w Paryżu, Marsylji, Brukseli, Roterdamie, Pradze, Bukareszcie i Warszawie, w ciągu 7 lat (1926 — 1933, t. zn. od zamachu majowego do dziś) i ów ustęp powyższy tak wyinterpretowuje:

„Norwid „wyszczerzał na jutrznię zęby", ale bezustannie „zawadzał o stary obyczaj" i ciągle go stylizował i cyzelował". (Tak!) (C. Norwid, str. 107)

Słowa te wyszły z pod pióra szedziwego „Napoleona" Hirschbanda, który już w r. 1891 lekceważył pracę myśli, nazywając ją „szarlatańsłwem metafizycznem", „dziwolągiem spekulacyjnym", „przekazem na niebo" i „bańką mydlaną teologji", a zato już wtedy „w pierwszej linji wielbił wolę, jako siłę i nic więcej". Nic więcej! uważajcie! Dalej tak pisał: „Czyn, choćby najszkodliwszy dla społeczeństwa, jeżeli jest objawem lub dowodem wielkiej siły woli, traci połowę, niekiedy całą swą ohydę"... ...„Lubimy postępować na złość zacnym popędom"... „Jesteśmy organicznie czcicielami woli, niezależnie od jej charakteru". („Studja i szkice filozoficzne") str. 273—280)

Tu zapytać się godzi, czy tak bardzo „najszkodliwsze dla społeczeństwa" no, i dla samego pana Hirschbanda, były owe „cudowne papiery i druki, zawiadomienia, zaproszenia, krótki konspekt treści (odczytu p. H. p. t. „*Le Maréchal Pilsudski écrivain et orateur*"), które wyglądały jak wezwania na koronację (przez imaginację!) lub conajmniej raut królewski", o czem czytamy na str. 65 nowej książki p. Hirschbanda „Wiatraki Don Chichota"? Czyżby doprawdy p. H. był po dziś dzień czcicielem „siły, najszkodliwszej dla społeczeństwa"? To mu się udało! Toć to wciąż „wyszczerzanie na jutrznię zębów"! „I nic więcej"! Zapewniamy p. H., że nic więcej! Jutrznia przyjdzie dla Polski, chociażby, za nasze pieniądze, tysiące don Chichotów po całej Europie „wyszczerzało zęby"! (S. C.)

OD REDAKCJI: Dnia 23 maja r. b. mija pięćdziesiąta rocznica śmierci Cyprjana Kamila Norwida. — Chcąc uczcić pamięć wielkiego poety, „Myśl Narodowa" cały zeszyt niniejszy poświęca omówieniu Jego twórczości, odkładając materjał bieżący do zeszytu następnego.

— **Chcesz wiedzieć,** kto w Polsce piwa nawarzył?
— Kup ostatni numer **tygodnika**

SATYRYCZNO - POLITYCZNEGO
„ŻÓŁTA MUCHA“
CENA NUMERU 20 GR. — ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Warunki prenumeraty: Kwartalna . 2.50 zł. Półroczna . 4.50 zł. Roczna . . 8.00 zł.

KONTO P. K. O. 27.455

Administracja:
WARSZAWA, UL. WARECKA 11, TEL. 291-16

DRUGI NAKŁAD KSIĄŻKI

HENRYKA ROLICKIEGO

„ZMIERZCH IZRAELA“

ZOSTAŁ JUŻ
WYCZERPANY

WKRÓTCE DZIEŁO TO
WYJDZIE Z DRUKU
W TRZECIEM WYDANIU

TADEUSZ BIELECKI

ZATARG POLSKO-ŻYDOWSKI Z ROKU 1815

NAKŁADEM
„MYŚLI NARODOWEJ“
WARSZAWA — — 1933
Do nabycia w księgarniach.

Cena **60** groszy

CZYTAJCIE!

ROMANA DMOWSKIEGO

MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA

Str. XLIV+296 4-te uzupełnione wydanie Cena 5 złotych

SKŁAD GŁÓWNY:
ADMINIST. „GAZETY WARSZAWSKIEJ“
ZGODA 5

DO NABYCIA:
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH KOLEJOWYCH T-WA „RUCH“.

OSTATNIE PRACE LITERACKIE

ZYGMUNTA

WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff) .	3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciech) . . .	2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.“)	1.20
Proces Lednickiego („Gaz. Warsz.“) . . .	5.—
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff). . . .	4.—
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej („Myśl Narod.“)	2.—
Współcześni (Gebethner i Wolff)	6.—
Dyskusje (Św. Wojciech)	5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff)	4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff)	7.50
Pieśń w górach („Patria“, Dom Ks. P.) . . .	5.—
Wnukom o prapradziadku (Gebethner i Wolff)	4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.